

JESTEŚMY Z Kuba Kołaciński jestesmyztytanu.pl TYTANU



Spis treści

WSTĘP	3
KRYZYS	7
FILM	17
ZASIĘG	25
DIGITAL	34
SIEĆ	49
GAMING	60
MIŁOŚĆ	69
POGLĄDY	76
ULICA	89
PIES	101
PRZYSZŁOŚĆ	114
BIBLIOGRAFIA	119

Jesteśmy z Tytanu — Kuba Kołaciński

Wydanie cyfrowe, 2026 · jestesmyztytanu.pl

ISBN: 978-83-982569-0-2

Okładka: Filip Trzeciak

© 2026 Jakub Kołaciński. Książka udostępniona na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa – Użycie niekomercyjne – Bez utworów zależnych 4.0 (CC BY-NC-ND 4.0). Możesz ją czytać, pobierać i dzielić się nią w niezmiennionej formie. Nie możesz jej sprzedawać ani modyfikować.

WSTĘP

*„Co poświęciłem? Jestem skazany na używanie narzędzi mojego wroga, żeby go pokonać.” — Luthen Rael, *Andor* (2022)*

Zimny grudniowy poranek. Żółte łuki McDonald’s górują nade mną jak ołtarz, do którego nie mam jeszcze wstępu. Sam, głodny, czekam, aż otworzą.

Kilka minut wcześniej pijany mężczyzna z ketchupem na koszulce groził, że mnie pobije — a ja myślami krążyłem po moich większych problemach: rozczarowaniu filmem, kobiecie, którą chyba kocham, przegranych wyborach, marzeniach, które leżą w cieniu planetarnych wyzwań.

Coś we mnie wtedy umierało. Przeżywałem to w samotności, bo czekałem na kogoś.

Czekałem na Luke’a Skywalker’a.

Wiem, że się nie zjawi. Wiem to gdzieś w tej części głowy, gdzie mieszka rozum, politologia i świadomość, że systemy nie mają jednej twarzy, a złodziej rzadko nosi czarną pelerynę.

A mimo to, kiedy widzę kolejny raport o zbrodniach wojennych, kolejny szczyt klimatyczny, który kończy się niczym, kolejną falę dezinformacji zmieniającą ludzi, których znam i kocham — coś we mnie nadal nastuchuje. Czekam na bohatera, który wyciągnie miecz i ocali świat.

Dorastałem na opowieściach, w których dobro zawsze wygrywa. Wygrywa, bo tego potrzebujemy. Bo tak jest zbudowany mit. Luke zawsze niszczy Gwiazdę Śmierci. Pierścień Władzy zawsze trafia do Mordoru. Avengersi ruszają na pomoc, nawet gdy zagrożenie przychodzi z kosmosu. Czyny mają konsekwencje, a sprawiedliwość osiąga tych, którzy czynią złe.

Ale opowieści, w które uciekamy, są życzeniem, fantazją, marzeniem. Marzeniem niebezpiecznym — bo uczy czekać. Na bohatera. Na zbawiciela. Na kogoś.

Świat się degeneruje — a wielu czeka. Prawda przestała być punktem odniesienia. Stała się jednym z argumentów. Można ją wybrać, można

odrzuć, można zignorować, jeśli nie pasuje do narracji, którą już się nosi w głowie. Nie chodzi o kłamstwo. Chodzi o coś trudniejszego: o świat, w którym kłamstwo i prawda mają ten sam status, bo obie są treścią, obie generują zasięg, obie karmią algorytm.

Kto kontroluje algorytm — ten kontroluje prawdę.

Fikcja ma osobliwy talent do mówienia prawdy w sposób, który nie boli. *Snowpiercer* pokazuje, jak klasa robotnicza żyje w ogonie pociągu, zjadając robaki, a elity jedzą sushi z przodu — i wychodzimy z kina poruszeni, mówimy, że to ważne — ale nic się nie zmienia. Fikcja krytykuje system i jednocześnie go zasila, bo krytyka też jest produktem, też generuje przychód. Zwraca uwagę na zło i jednocześnie nas z nim oswaja.

Paradoks jest głębszy. Superbohater może zatrzymać meteoryt, ale nie może zatrzymać eksmisji chorej emerytki. Może pokonać tyrana, ale nie może pokonać systemu, który tyranów produkuje. Fikcja, którą kochamy, jest zbudowana na założeniu, że zło ma twarz, imię i słaby punkt — i że wystarczy ktoś odważny, żeby go zniszczyć. To założenie jest piękne. I nieprawdziwe.

Kocham tę fikcję zwłaszcza wtedy, gdy widać w niej odbicie rzeczywistości i niuanse mechanizmów systemu. Gdy pokazuje, że opór przeciw złu jest możliwy. Niestety rzadziej mówi o tym, że opór kosztuje wszystko.

Czy można walczyć z systemem narzędziami systemu, nie stając się jego częścią? To pytanie nie daje mi spokoju — znam je od środka. Szukam odpowiedzi.

Przez lata próbowałem zmieniać świat i za każdym razem zmieniałem tylko metodę. Najpierw uczyłem się, jak działa system — i pracą magisterską udowodniłem samemu sobie, że kino, które kocham, sprzedaje bunt jak każdy inny towar. Potem wyszedłem na ulicę — demonstracje, partia, trzysta głosów w wyborach, które nic nie zmieniły. Potem zacząłem krzyczeć w internecie — a moje treści dotarły do milionów, na platformach, które zarabiały na każdym moim słowie gniewu. Aż w końcu usiadłem po drugiej stronie biurka, w digital marketingu — tam, skąd widać dokładnie, jak działa maszyna, którą przez lata próbowałem zatrzymać.

To historia paradoksów. Krytykuję kino za diagnozę bez recepty — ta książka jej też nie wystawia. Budowałem zasięgi, które zasilaty algorytmy, które chciałem obalić. Szukałem wspólnoty przez wartości — i odkryłem, że najtrwalsza jest ta zbudowana przez dwadzieścia lat grania w gry z trzema kumplami. Próbowiałem dotrzeć do milionów — i nie wiem, czy zmieniłem kogokolwiek.

Wiem za to, co zobaczyłem od środka. Ale moje doświadczenia to tylko soczewka — do patrzenia na system, na własny wpływ, na pytania, które nie mają czystych odpowiedzi. Może przez moją historię zobaczysz coś znajomego.

Nie wiem, jaki wpływ mam ja — trudno to zmierzyć. Opowiem natomiast o tym, jaki wpływ miały na mnie osoby, z którymi skrzyżowała się moja droga: rodzina, mentorki i mentorzy, nauczycielki i nauczyciele, przyjaciółki i przyjaciele — ale też ludzie, których spotkałem raz i nigdy więcej. Nocna rozmowa na imprezie, w kuchni, z kimś, kogo imienia nie pamiętam — potrafi zmienić życie.

Chcę uchwycić wiele z tych zjawisk. Przez relacje i kolejne fascynacje, którymi próbowałem zrozumieć świat, a potem go zmieniać, a potem przeżyć rozczarowanie, że zmiana nie przyszła. Przez kulturę popularną, która była moim pierwszym językiem polityki — zanim wiedziałem, że to polityka. Przez naukę, aktywizm, media społecznościowe, miłość, ciało, decyzje nieodwracalne. Przez wszystko, co zbudowało to, kim jestem. I przez pytanie: ile z tego wybrałem, a ile wybrał za mnie system?

Ta książka jest próbą czytania systemów — przez soczewkę konkretnego człowieka, który od lat trafia na ten sam mechanizm: system wchłania opór i robi z niego produkt. System wynagradza to, co umacnia go samego. I system zmienia cię — zanim zdążysz to zauważyć.

Jedi nie istnieją.

I może powinniśmy — pomimo strachu — sięgnąć sami po miecz. Nie czekać na wybawcę.

Bać się i robić. Ja na pewno będę się bardzo bał ukończyć pracę nad tą książką — albo nad czymkolwiek, czym ten tekst się w końcu stanie.

Piszę o odwadze — i boję się własnej książki. Przez lata nawoływałem innych do działania — a sam nie wiem, czy dotrę do ostatniej strony.

A lęk był i jest pod tym wszystkim od początku — pod każdą zajawką, każdym projektem, każdą wspólnotą, którą miałem i traciłem. Pisanie o nim jest jedynym sposobem, żeby przestać czekać. Żeby przestać czekać na Luke’a Skywalker’a.

KRYZYS

„Jakoś, Palpatine wrócił.” — Poe Dameron, *Star Wars: The Rise of Skywalker* (2019)

Grudzień 2019, zimny poranek. Stoję przed McDonald's i czekam, aż otworzą.

Jestem sam. Samotny, głodny, przerażony.

Kilka minut wcześniej ktoś pijany chce mnie pobić. Staje przede mną, zajadając się hot-dogiem i bełkocząc groźby. Krzyczy coś, o czym za chwilę zapomnę, bo jestem zupełnie gdzie indziej.

Widzę tylko plamę ketchupu na jego zapoconej koszulce, a myślami jestem na planie filmowym w Pinewood Studios. Jestem na spotkaniu w Lucasfilm, gdzie w jakiejś śmiesznie nazwanej salce konferencyjnej ktoś podjął decyzję, żeby wskrzesić Palpatine'a. Jestem w świeżym wspomnieniu sali kinowej, gdzie przed chwilą siedziałem przez osiem godzin nocnego maratonu sequele *Star Wars*.

Czuję, jak coś we mnie po cichu umiera.

...

Rise of Skywalker. Rozczarowanie, które bolało bardziej, niż powinno — bo za nim stały lata śledzenia każdego przecieku z planu, każdego wywiadu z twórcami, każdej spekulacji na Reddicie. Wielogodzinne wieczorne sesje, dyskusje, teorie, jak rozwiążą wątki Sagi.

Ze *Star Wars* dorastałem, uczyłem się wyobraźni, budowałem pierwsze przyjaźnie. W pamięci mam każdy jeden wypad do kina na premiery kolejnych filmów Sagi, od 1997 roku do dziś — z ojcem, z rodziną, z przyjaciółmi. To zawsze było święto.

A przygoda zaczęła się, gdy miałem siedem lat. Ojciec zabrał mnie do kina na Specjalną Edycję Oryginalnej Trylogii. Seanse były z napisami, za którymi ja nie nadążałem — szeptał mi więc do ucha polskie tłumaczenie najważniejszych dialogów.

Do dziś pamiętam swoje zdziwienie, gdy szepnął: „*Jestem twoim ojcem*”.

Myślę: przecież wiem! Tłumacz, co się dzieje na ekranie! Co „ten czarny” chce od Luke’a?

To było moje pierwsze spotkanie z mitem. Z historią większą niż wszystko, co wcześniej znałem. Wtedy jeszcze niewiele z tego rozumiałem — ale szybko neurony zaczęły się ze sobą łączyć w przedziwnych konfiguracjach.

...

A teraz stoję pod zamkniętym McDonald’s, przed siódmą rano. Myśli o tempie montażu w drugim akcie przerwał mi agresywny, pijany człowiek. Bałem się, ale nie byłem na niego zły. Najwyraźniej miał własne problemy.

W końcu odpuścił. Nastąpiła cisza łódzkiej nocy. Zostałem znów z moim potokiem myśli. I z rozterkami, które nosiłem od tygodni — czym właściwie są uczucia do kogoś mi bliskiego, kiedy nie wiem jeszcze, jak je nazwać.

Bo film był tylko wierzchołkiem. W tamtym roku kończyły się rzeczy, które nosiłem w głowie, i rzeczy, które nosiłem w sercu — i wszystko wybrało ten sam czas, żeby dobiec końca jednocześnie.

...

Chwilę wcześniej, jesienią, formalnie startowałem w wyborach parlamentarnych. Nieformalnie: było za wcześnie, a ja niewiele rozumiałem. Chciałem jednak zobaczyć ten proces „od kuchni”. W pierwszym rządzie partyjnej polityki.

Do „polityki” partyjnej wszedłem w 2018 roku, po tym, jak przeczytałem raport IPCC. Naukowcy pisali wprost: jeśli nie podejmiemy systemowych zmian natychmiast — transformacja energetyczna, redukcja emisji — to okno się zamknie. I nastanie prawdziwa katastrofa: dotkliwe fale upałów, pożary lasów, konflikty o wodę i żywność; migracje milionów ludzi. Nie za sto lat. Już teraz. I będzie tylko gorzej.

Czytałem to tak, jak się czyta wynik badania. Od dwustu lat spalamy węgiel, ropę i gaz; uwolniony w ten sposób dwutlenek węgla i metan zatrzymują w atmosferze ciepło słońca, które wcześniej uciekało w kosmos. To nie jest teoria z tych, w które można wierzyć albo nie — jest tak pewna jak grawitacja.

A planeta ociepla się dziś szybciej niż kiedykolwiek: rok 2024 był pierwszym w historii pomiarów powyżej półtora stopnia.

Gorzej, że system napędza się sam. Topnieje lód Arktyki, a biała pokrywa, która odbija promienie z powrotem w kosmos, znika. Odślonięty ciemny ocean pochłania to ciepło, zamiast je odbijać — więc lód topnieje jeszcze szybciej. Skutek, który staje się przyczyną. Pierwszy dzień bez lodu w Arktyce może przyjść przed 2030 rokiem.

A kropki łatwo połączyć i jest ich coraz więcej. Susza w Syrii, najgłębsza od stuleci, zniszczyła jedną trzecią tamtejszego rolnictwa i wypchnęła około półtora miliona ludzi ze wsi do miast. Kilka lat później był tam kryzys, wojna, a potem fala uchodźcza, która zmieniła politykę całej Europy. Brak wody wypycha ludzi z domów. Co zrobisz, kiedy odkręcisz kran, a z niego nic nie poleci?

I coś we mnie przeskoczyło. Nie panika — raczej rodzaj lodowatej jasności. Świat się kończy, a my udajemy, że nie. Ktoś musi coś z tym zrobić.

Uznałem, że tym kimś mogę być też ja. I zacząłem myśleć o alternatywach. System zaprojektowany na nieskończony wzrost na skończonej planecie nie mógł zadziałać inaczej. Zysk kwartalny liczy się mocniej niż stulecie, które nadejdzie. A to, że koszty ponosi dziś planeta, nie firma, która je wygenerowała, nie jest wypadkiem przy pracy systemu. To jego projekt. Bo skoro problemem jest kapitalizm — to jakie mamy alternatywy? Który „-izm”?

Pobujałem się więc po mieście z lokalnymi aktywistkami i aktywistami. Znalazłem wspólny język i wspólne wartości z ludźmi, których bardzo interesowała PPS — jako historia, mit, case study, inspiracja, nadzieja. I dla tych ludzi zapisałem się do PPS — Polskiej Partii Socjalistycznej.

„Socjalizm” kojarzy się różnie. I dziś wiem, że trudno będzie zrobić dobry marketing dla jego „marki”. Ale pod parasolem demokratycznego socjalizmu z polskimi tradycjami niepodległościowymi kryją się wartości, które ze mną rezonują. Spółdzielczość. Patriotyzm rozumiany jako wspólnotowość narodowa. Równość szans na godne życie. Demokracja oddolna. Wolność, której granicą jest bliskość cudzego nosa. W centrum uwagi człowiek, nie kapitał. Współpraca zamiast konkurencji.

Prawie zawsze słyszę to samo zdziwienie, kiedy tak opowiadam: „Nigdy nie słyszałem takich rzeczy”.

A PPS ma piękną historię, której nie da się zamknąć w jednej narracji. To z jej szeregów wyszedł Józef Piłsudski — zanim jeszcze Polska wróciła na mapę. Historie o Piłsudskim napadającym na pociągi są zabójczo fascynujące — niezależnie od tego, jak ocenia się to, co robił później. To Ignacy Daszyński proklamował w 1918 roku pierwszy wolny rząd Rzeczypospolitej.

Był też Stanisław Dubois — młody działacz PPS, ideowy, odważny, który zdążył wziąć udział w powstaniu śląskim i w wojnie polsko-bolszewickiej z 1920 roku. Wielu zapomina, że dla Polski pierwsza wojna światowa nie skończyła się w 1918 roku — bolszewicy szli na zachód, żeby siłą wmusić w nas swoją ideologię, i trzeba było znowu chwycić za broń, żeby obronić dopiero co odzyskaną niepodległość. Mój przyjaciel z PPS był nim zafascynowany — to jego ta postać jarą i kręciła, nie mnie. Ale słuchałem, jak opowiada o wartościach, które łączyły go z tą postacią, a o których wcześniej nie słyszałem — i to samo w sobie było dla mnie inspirujące. Nowe pokolenie PPS, zafascynowane tymi samymi refleksjami o życiu, z podobnym zestawem wartości. To nas łączyło we wspólnotę — nawet jeśli chwilową.

PPS walczyła o niepodległość Polski i o ośmiodzinny dzień pracy jednocześnie — bo dla niej jedno nie stało w sprzeczności z drugim. To historia oporu wobec zaborców i kapitalistów, spółdzielczości w miejscach pracy i w przemyśle, kółek naukowych i czytelni, wzajemnego szacunku i współpracy na poziomie lokalnym. To też historia pierwszych lokalnych klubów sportowych, w tym piłkarskich — jak mój łódzki Widzew. I patriotyzmu rozumianego tak, że Ojczyzna to Obywatelki i Obywatele, którzy w niej mieszkają, a interes narodowy jest interesem nas wszystkich.

Komuniści rozwiązali PPS w 1948 roku. Odrodziła się w 1987 roku, jeszcze przed Okrągłym Stołem. Ta ciągłość — przerwana przez antyspółeczny komunizm, później wznowiona — była dla mnie czymś autentycznym, niezawłaszczonym przez cynizm nowoczesnej polityki. Dziś jednak PPS jest partią „kanapową”, na marginesie „wielkiej” polityki.

Nie zdążyłem zrobić wiele, a rok później wylądowałem na siedemnastym miejscu listy w wyborach do Sejmu. Zbieg okoliczności i poczucie obowiązku. I jeszcze jeden powód: wiosną, kilka miesięcy przed wyborami, straciłem bliską mi osobę — właśnie z partii, była jedną z osób, przez które do PPS trafiłem. Działaliśmy razem społecznie od lat, w PPS-ie od roku. Było nas wtedy w Łodzi zaledwie kilka osób. Nie wiedziałem jeszcze, że za dwa lata będzie nas dziesiątki. Wypadek samochodowy.

To była jedna z niewielu osób w moim życiu, z którymi mogłem rozmawiać o tym, co wiedziałem z raportów IPCC — i czego nie chciał słyszeć prawie nikt. Media pisały o tym jako o wyzwaniu przyszłych pokoleń, politycy myśleli tylko perspektywą kolejnych wyborów, a ludzie wokół mnie mieli własne, bardziej namacalne problemy. Tymczasem każda kolejna edycja raportów klimatycznych pokazuje coraz bardziej katastrofalny obraz sytuacji — i każdy, kto potrafi czytać wykresy i mapy, może to sam sprawdzić.

Już nie wiem, ile w mojej decyzji, żeby kandydować, było zimnej kalkulacji, że to najlepsza metoda, aby coś zmienić, a ile postanowienia, że jednak nie odpuszczę, również dla pamięci tej osoby. Tego rodzaju postanowień nie podejmuje się głośno. Podejmuje się je w ciszy — gdzieś w przestrzeni między żałobą a tym, co zostaje po niej.

Wydałem na kampanię zero złotych — bo więcej nie miałem. Wrzuciłem odręcznie podpisane listy do skrzynek na osiedlu. Pisałem w internecie o problemach, które widzę. Jeździłem na spotkania, konferencje prasowe, wydarzenia.

Algorytm nie bardzo to polubił. Uzyskałem trzysta głosów.

Ale był powód, dla którego tamten czas smakował gorzko. Bo chciałem zmieniać polską politykę, budując wiarygodną alternatywę. A PPS wystartowała w 2019 roku w koalicji — z SLD, Wiosną i Razem. Decyzja, której nie lubiłem i na którą nie miałem wpływu. Polityka koalicyjna ma własną logikę — logikę kompromisów, szerokości, przydatności wyborczej, interesów. Moja logika była inna. SLD nie było moją partią. Wiosna nie była moją partią. Ale to nie ja o tym decydowałem.

Nigdy nie zapomnę pierwszego haustu goryczy. Na wspólnym zjeździe kandydatów byłem w sali, kiedy przemawiał Biedroń, lider Wiosny. Człowiek, który miał być twarzą „lewicowej” odnowy, symbolem, że coś może być inaczej. Mówił, jakby sam nie wierzył w to, co mówi. Żadnej siły. Żadnego ognia.

Później słyszałem go w radiu. Mówił o smogu i o katastrofie klimatycznej — używając ich zamiennie, jakby były tym samym. A nie są. Smog to problem niskiej emisji: piece węglowe, stare samochody, to, co wdychasz w Krakowie w grudniu. Katastrofa klimatyczna to problem wysokiej emisji: przemysł, transport, energia, to, co zmienia temperaturę planety. Dwa różne poziomy skali, dwa różne zestawy rozwiązań, dwa różne problemy. Nie wymagam tego od każdego. Ale od przedstawiciela w demokracji reprezentacyjnej — od kogoś, kto staje przed wyborcami i obiecuje, że zajmie się problemami — wymagam rozumienia podstaw. To nie jest poprzeczka wysoka. To jest poprzeczka minimalna.

Niestety, zmiany klimatu przestały być tematem, o którym rozmawia się faktami i rozwiązaniami. Stały się osią tożsamości — flagą, którą się wywiesza albo zdejmuje. Dziś o tym, czy ocieplenie w ogóle uznaje się za problem, coraz częściej decyduje nie wykres, tylko to, po której stronie stoisz i co dowcipnego rzucił wczoraj o pogodzie ktoś z twojego obozu. Fizyka atmosfery ma wyższy próg wejścia.

W dniu wyborów śledziłem „bazarek” — przecieki z sondaży exit poll, które krążą, zanim wolno je opublikować. Wpatrywałem się w liczby, liczyłem na jak najniższy wynik „pistacji”, układałem scenariusze. Jakbym mógł myśleniem coś zmienić.

PiS wygrał ponownie. A ja chciałem, żeby przegrał.

Stałem przed ekranem z wynikami i bolało — zwyczajnie, personalnie, jak boli przegrana w coś, w co się choć trochę wierzyło. A pod tym bólem było jeszcze coś cięższego: potwierdzenie teorii, której nie chciałem przyjąć. Że to, co wiem o tym, jak działa świat, i to, co mogę z tą wiedzą zrobić, są od siebie oddzielone przepaścią, której nie zasypie jeden kandydat na siedemnastym miejscu listy.

Taka polityka chyba nie jest dla mnie. Ale co zamiast niej?

...

Wcześniej, przed wyborami, odebrałem dyplom z łódzkiej szkoły filmowej. To były dwa lata studiów podyplomowych na kierunku „organizacja produkcji filmowej i telewizyjnej”. Weekendowe zjazdy co dwa tygodnie. Dobry czas, gdy uczyłem się od weteranów kina oraz fantastycznych koleżanek i kolegów z roku — każda i każdy z inną historią, marzeniami, doświadczeniem.

Pamiętam to gorące lato. Podjechałem pod budynek, wszedłem, wyszedłem z teczką. W drodze powrotnej czułem, że zamknął się jakiś rozdział — ale nie wiedziałem jeszcze, co po nim.

Marzenie o filmówce nosiłem od dzieciństwa — od weekendu, kiedy dorwałem się do płyt DVD z rozszerzonej edycji *Władcy Pierścieni*. Kilkanaście godzin dokumentów — scenografia, kostiumy, muzyka, storyboard, logistyka planu, zarządzanie setkami ludzi. Urzekło mnie, że film to kolektywny efekt pracy setek, czasem tysięcy osób o zupełnie różnych kompetencjach. I że jakość tego, co widzisz na ekranie, jest bezpośrednią pochodną jakości procesów za ekranem.

Zawodowo już kilka lat pracowałem w roli project managera, więc rozumiałem ten system — presję terminów, wagę jakości, pracę z ludźmi w stresie. Film to projekt, który w swoich kulisach przechodzi jeden z najbardziej skomplikowanych procesów, jakie istnieją. Chciałem poznać lepiej ten świat.

Moje zajawki na kino i politykę mają to samo źródło. W 1999 roku, mając dziewięć lat, nauczyłem się *Mrocznego Widma* na pamięć — dosłownie startłem kasetę VHS, oglądając film w kółko. W filmie: opodatkowanie szlaków handlowych, votum nieufności wobec Kanclerza, monarchia elekcyjna, Senat, procesy legislacyjne. Kiedy zacząłem łączyć kropki — że ta fikcja jest trochę o tym, co rodzice widzieli w telewizji, co czytali w prasie — coś się przestawiło. Film zmienił sposób, w jaki patrzę na świat.

Chciałem wiedzieć, czy mogę zrobić to samo dla kogoś innego. Zmienić świat filmem.

Rekrutacja na filmówkę dwa lata wcześniej. Kilka osób przed salą, wchodzimy po kolei. Komisja: wykładowcy, pracownicy szkoły. Pytają o motywacje. Pytają, co robiłem już z filmem. Opowiedziałem o filmach kręconych w dzieciństwie kamerą cyfrową. O pracy magisterskiej. Zapytali o szczegóły — i zacząłem tłumaczyć: teoria ruchów społecznych, alterglobalizm, kino science fiction jako gatunek, który pochłania lęki społeczne i robi z nich produkt. I jak dotarłem do wniosku odwrotnego, niż się spodziewałem: że antykapitalizm staje się towarem kapitalizmu. Że kino nas oswaja, nie wyzwala.

Komisja nie bardzo rozumiała, o co mi chodzi.

Dostałem minimalną liczbę punktów kwalifikujących mnie na pierwszy rok. Ostatni na liście.

Filmówka przez dwa lata była moim „trzecim miejscem” (poza pracą i domem). Relacje z grupą na roku, z wykładowcami, pogłębianie wiedzy o tym, jak naprawdę powstaje fajny projekt. Poznałem osoby z wielu różnych branż kina, kultury, telewizji. Zrobiliśmy wspólnie kilka etiid, w tym film, z którego jestem najbardziej dumny: *Schody Mordoru* — ale o tym filmie później.

Coś z własnego życia weszło w coś wspólnie stworzonego.

Więc jak kino zmienia świat? Czy może każdy widzi przez własną soczewkę to, co chce zobaczyć? Czy ludzie nie interpretują filmów tak jak ja?

Czy sztuka nie zbawia?

Z teczką pod pachą wsiadłem w samochód i nie wiedziałem, gdzie jechać.

...

Praca, do której wtedy wracałem, była od miesięcy rutyną. Szef, który wcześniej rozmawiał ze mną godzinami, zajął się swoim życiem — i zostałem z ciszą, ze stagnacją, z poczuciem, że czas przecieka. Pod koniec roku rozwiązaliśmy umowę, a ja postanowiłem zrobić sobie „przerwę”. Miałem jakieś oszczędności i mgliste marzenie, żeby w końcu zrobić coś swojego, po swojemu. W przypiływie impulsywnej zajawki drugiego dnia

założyłem konto na Instagramie. Za kilka miesięcy moja twórczość trafi na miliony ekranów.

A pośrodku tego wszystkiego — w burzy emocji i refleksji pod McDonald's w 2019 roku — była *ona*. Limerencja.

Kilka lat przyjaźni, rozmowy, wspólny czas i poczucie, że rozumiemy się najlepiej. Gdzieś w trakcie, kiedy kolejne rzeczy się kończyły i nie wiedziałem, co przynosi przyszłość, moje serce zaczęło uciekać coraz mocniej w jej stronę.

Szczególnie że doświadczyłem epidemii samotności na własnej skórze — efekt tego, jak przez ostatnie dekady rozmontowaliśmy wspólnotowość: sąsiedztwa, w których każdy znał każdego, zamieniliśmy na klatki schodowe pełne obcych sobie ludzi. Przez większość dorosłego życia byłem singlem, z trudnościami w nawiązywaniu nowych znajomości. W tym samym czasie rozpadły mi się dwie niezależne od siebie paczki znajomych — jedną skłóciłem sam, niepotrzebnie, druga rozpadła się beze mnie, a i tak zostałem bez niej. Zostałem z dziurą tam, gdzie było towarzystwo, bezpieczeństwo, miejsca, do których się szło. Ona była jedyną stałą dobrą osobą. Im bardziej kurczył się świat wokół mnie — tym bardziej ta przyjaźń stawiała się punktem oparcia.

Myślałem, że to miłość, bałem się i w końcu jej powiedziałem. Ona zerwała kontakt — nie ze złości, raczej dlatego, że tak wyglądało dla niej najlepsze wyjście. Z perspektywy czasu rozumiem tę decyzję. Była dobra. Dziś wiem więcej o sobie i o tym, jak działałam, kiedy potrzeba bliskości robi się głośniejsza niż szacunek dla cudzej granicy. I nie chcę się usprawiedliwiać. Chcę zrozumieć mechanizm. Wtedy podejrzywałem, że rozumiem go w głowie, ale nie w sercu.

To przeważało szalę. Bo są rzeczy, które bołą nie dlatego, że są duże — tylko dlatego, że są po prostu „ludzkie”. Jak zakochanie, miłość, *crush*, fascynacja, limerencja, tęsknota, pożądanie, obsesja, lęk, głód. Racjonalnie nadajemy im nazwy, osadzamy w kontekście, uczymy się je rozumieć i odczytywać, uczymy się na nie reagować. Ale bołą.

Stałem więc pod McDonald's przed siódmą rano, samotny, bez pracy, bez wpływu, ze złamanym sercem, z porażką wyborczą za sobą i złym filmem w głowie — i z tym zimnym tłem, które nie daje mi spokoju: że upadek naszej cywilizacji to bliska perspektywa, że czas naprawdę ucieka, że naprawdę trzeba zacząć działać i naprawdę nie wiem, co zrobić, żebyśmy byli w stanie uratować świat przed zagładą.

To był egzystencjalny terror — osobisty i planetarny jednocześnie. Mój własny kryzys nałożony na kryzys wszystkiego. Jakby skala nagle przestała mieć znaczenie: czy martwię się o siebie, czy o świat — efekt był ten sam. Stanie w miejscu z tą samą niemożnością w piersi.

...

Żeby zrozumieć, jak tu doszedłem — muszę wrócić do miejsca, gdzie po raz pierwszy zadałem sobie właściwe pytanie. Nie „czy system jest zły”. To wiedziałem od dawna. Pytanie brzmiało: czy można z nim walczyć od środka — i czy można to zrobić, nie stając się jego częścią. Myślałem, że znalazłem odpowiedź. Napisałem ją nawet na osiemdziesięciu stronach. Miałem wtedy dwadzieścia pięć lat i byłem z siebie bardzo dumny.

FILM

„Kto kontroluje lokomotywę, ten ma władzę nad światem.” — Curtis,
Snowpiercer: Arka Przyszłości (2013)

Zawsze żyłem z poczuciem, że kino ma wpływ na moje wartości. Że *Star Wars* nauczył mnie rozróżniać dobro od zła, że *Harry Potter* dał język dla niesprawiedliwości, że *Andor* pokazał, jak wygląda opór od środka. Że kultura popularna była pierwszym miejscem, gdzie zadawałem pytania, które potem okazały się pytaniami politycznymi.

Ten mechanizm jest starszy niż kino. Starszy niż druk. Grecy opowiadali sobie *Iliadę* i *Odyseję* — a to opowieść starsza niż Homer, jeśli Homer w ogóle istniał. Zanim ktokolwiek ją spisał, krążyła z ust do ust: co robi z człowiekiem dziesięć lat wojny i dziesięć lat drogi do domu. *Star Wars*, na którym się wychowałem, jest dalekim wnukiem tamtej opowieści — Lucas budował na schemacie wędrówki bohatera. Kiedy więc mówię, że popkultura była moim pierwszym językiem polityki, mówię o języku, którego nie wymyślono w Hollywood.

Dopiero na studiach zrozumiałem, że to nie całkiem tak. Że kino nie uczyło mnie polityki — kino *było* polityką. Że każdy film z gatunku science fiction, który oglądałem jako dziecko, każda dystopia, każdy bunt klasy robotniczej przeciw galaktycznemu imperium, był produktem systemu, który opisywał, kultury, w której powstawał, i zjawisk społecznych, jakie go formowały. Były też produktem decyzji biznesowej.

Proces myślowy w interpretacji kilku filmów zajął osiemdziesiąt stron pracy magisterskiej. To jeden z ważniejszych projektów, z których jestem naprawdę dumny.

Studia na stosunkach międzynarodowych i amerykanistyce na Uniwersytecie Łódzkim dawały mi coraz precyzyjniejsze narzędzia do rozumienia świata. Wiedziałem coraz więcej, rozumiałem coraz lepiej, ale jednocześnie miałem coraz mniej pewności, co z tą wiedzą zrobić. Politologia uczyła mnie, jak działa system. Nie uczyła, jak się zachować, kiedy system okazuje się gorszy, niż myślałem.

Promotorka mojej pracy była inna. Ona nie wymagała, żebym miał odpowiedzi. Wymagała, żebym zadawał właściwe pytania. I dała mi do tego narzędzia, których szukałem: brytyjskie studia kulturowe, teorię hegemonii, Gramsciego, Marksa. Sposób patrzenia na kulturę nie jak na zwierciadło rzeczywistości — ale jak na pole walki o znaczenie. O to, czyje lęki są reprezentowane, czyim głosem i na czyj koszt.

Kiedy zacząłem przez ten pryzmat oglądać filmy, które znałem od lat — coś się przestawilo.

...

Kino science fiction zawsze było najbardziej plastycznym gatunkiem — dokładnie dlatego, że nie udaje, że mówi o teraźniejszości. Może mówić wprost. W latach pięćdziesiątych kosmici przylatywali z planety Związek Radziecki. Godzilla wychodził z morza w 1954 roku — kilka miesięcy po teście wodorowym, którego radioaktywny opad skażył japoński kuter rybacki — i niszczył Tokio. HAL 9000 odmawiał posłuszeństwa w 1968 roku, kiedy automatyzacja zaczynała likwidować pierwsze branże. Terminator przyszedł w 1984 roku wraz z pierwszym komercyjnym boomem komputerowym — i pytał, czy maszyna, która myśli, jest jeszcze narzędziem, czy już czymś innym. Klonowanie, AI, cybernetyka, bunt maszyn. Każde pokolenie ma swoje lęki, a science fiction zamienia je w historię.

W pierwszej dekadzie XXI wieku największym lękiem były nierówności. I kino to wiedziało.

Wybrałem trzy filmy: *Elizjum* (2013), *Wyścig z czasem* (2011), *Snowpiercer: Arka Przyszłości* (2013). Wszystkie opowiadają o tym samym — o świecie, gdzie wąska elita kontroluje zasoby, a klasa robotnicza walczy o przetrwanie. Wszystkie osadzone w niedalekiej przyszłości, wszystkie zakorzenione w teraźniejszości. Raporty ONZ o nierównościach ekonomicznych, dane o prekariacie, historia ruchów alterglobalistycznych od zapatystów po Occupy Wall Street — to wszystko wchodziło jako tło do analizy filmów.

...

Elizjum Neilla Blomkampa zaczyna się od obrazu, który rozpoznasz z każdego dokumentu o nierównościach ekonomicznych: zrujnowane,

zaśmiecione Los Angeles roku 2154, a na orbicie — lśniąca stacja kosmiczna dla najbogatszych, z zielonymi parkami i nieograniczonym dostępem do technologii medycznej. Kontrast jest dosłowny do bólu. Blomkamp nawet nie próbuje go złagodzić — po prostu stawia te dwa światy obok siebie i mówi: oto dokąd zmierzamy.

Główny bohater, Max, pracuje w fabryce produkującej policyjne droidy. To jest pierwszy i najważniejszy paradoks tego świata: człowiek z klasy robotniczej produkuje maszyny, które go kontrolują. Nie przez złą wolę, nie przez głupotę. Pracuje tam, bo innej pracy nie ma, bo zrezygnowanie z niej oznacza śmierć. System nie potrzebuje złoczyńców z pelerynami. Wystarczy, że zorganizuje warunki, w których ludzie sami przykuwają sobie kajdany. Ja kilka lat później siedzę przy biurku w agencji marketingowej i dokładam swoją cegiełkę do zalewania internetu reklamami — medium, które kocham właśnie za to, czym jest bez nich.

I kiedy Max dostaje śmiertelną dawkę promieniowania w wyniku wypadku we wspomnianej fabryce — jego szef martwi się przede wszystkim o to, czy postanie nie zabrudziło się krwią (sic!). Korporacja daje mu leki przeciwbólowe i wypuszcza do domu. Tyle opieki medycznej, na jaką może liczyć mieszkaniec Ziemi. A w tym czasie na stacji kosmicznej zamieszkałej przez elity każdy dom ma kapsułę, która wyleczy każdą chorobę w ciągu minut. To nie jest fikcja — to jest ekstrapolacja systemu, który już istnieje w Stanach Zjednoczonych, gdzie dostęp do leczenia zależy od klasy społecznej, a nie od potrzeby.

Moim zdaniem system, w którym państwo (wspólnota) uzależnia niesienie pomocy osobie chorej od jej klasy społecznej — jest systemem zepsutym.

Susan Sontag pisała, że science fiction pełni psychologiczną funkcję oswajania z tym, co nie do zniesienia — że widz, oglądając ekstrapolowaną wersję swojego świata, wraca do domu z poczuciem, że jednak nie jest tak źle. *Elizjum* to mechanizm Sontag w czystej postaci.

Ale był jeszcze jeden moment w tym filmie, który zmienił moją optykę w sposób, którego się nie spodziewałem.

W filmie jest scena, gdzie agent Kruger — opłacany przez elity morderca — molestuje i grozi gwałtem bliskiej Maxowi osobie. Miałem poczucie, że ta scena jest nie na miejscu, że to jakiś inny film. Opisałem tę obserwację na konsultacji, a promotorka powiedziała coś, czego nie zapomnę: że właśnie o to chodzi. Że gwałt i jego groźba w tych filmach nie są dramatycznym ozdobnikiem. Jest narzędziem. Że przemoc seksualna wobec kobiet funkcjonuje w *Elizjum* dokładnie tak samo jak przemoc fizyczna wobec robotników — jako forma kontroli, jako demonstracja władzy, jako przypomnienie, kto jest właścicielem czyjegoś ciała. Że patriarchy i kapitalizm nie są dwoma osobnymi systemami. Że używają tej samej logiki.

Wyszedłem i obejrzałem film jeszcze raz. Kruger molestuje Frey w obecności Maxa — który nie reaguje, bo skupiony jest na własnym celu. Bohaterka ratowana jest z opresji kilkakrotnie, za każdym razem przez mężczyznę. Jej córka jest narzędziem narracyjnym — choruje po to, żeby Max miał motywację. Kobiety w tym filmie istnieją jako tło dla podróży bohatera. I to jest film, który uchodzi za progresywny komentarz społeczny?

To był moment, kiedy nauczyłem się pytać: *kto opowiada? Czym głosem? Komu służy ta historia?*

...

Jeśli *Elizjum* było realistycznym portretem nierówności, to *Wyścig z czasem* Andrew Niccola był ich elegancką metaforą. Pomysł jest genialny w swojej prostocie: czas jako waluta. Żyjesz z licznikiem na przedramieniu. Biedni żyją z dnia na dzień — dosłownie mają po kilkanaście godzin życia (wypłata po każdej zmianie). Bogaci posiadają *stulecia*.

Ta metafora robi kilka rzeczy jednocześnie. Po pierwsze, czyni niewidzialną przemoc systemu ekonomicznego widzialną. Kiedy pracownik fabryki dostaje wypłatę niższą, niż oczekiwał — traci nie pieniądze, ale dni życia. Kiedy ceny w getcie rosną — a cenami manipulują elity — ludzie po prostu umierają. Nie w wyniku katastrofy ani przemocy. W wyniku matematyki ekonomicznej.

System, który działa najsprawniej, nie potrzebuje przemocy. Wystarczy arytmetyka.

Zbrodniarz tego świata, Philippe Weis, siedzi przy pokerowym stoliku z setkami lat na liczniku i tłumaczy protagoniście, że nierówności są naturalną konsekwencją ewolucji — „darwinowski kapitalizm, selekcja naturalna”. Rozpoznałem w tym zdaniu retorykę, którą zaczynałem spotykać w lekturach — tę o tym, jak logika wolnego rynku tłumaczy się z języka chciwości na język natury. Kapitalista nie mówi, że jest chciwy. Mówi, że jest ewolucją. Że nierówność jest nieunikniona jak grawitacja. Dopiero na studiach zacząłem rozumieć, jak bardzo to zdanie robi robotę — i dla kogo.

Ale ten film robi też coś, co mnie irytowało i na co musiałem znaleźć słowa. Protagonista Will — po śmierci matki, po tym, jak zobaczył mechanizm, który zabija ludzi jak zegar — bierze za rękę córkę miliardera i razem robią napady na banki. Redystrybuują czas. Flirtują. Bawią się. Uciekają przed policją w spektakularnych scenach akcji.

Film przedstawia rewolucję jako przygodę dwojga zakochanych, jako romantyczny bunt, jako coś, co dzieje się między scenami pościgu.

Twórca tego filmu mówił w wywiadach, że „nie interesuje go polityka, tylko opowiadanie historii”. Polityka kończyłaby się pytaniem, na które w tym filmie nie ma odpowiedzi: a co po rewolucji? Jaki system? Will i Sylvia robią napad na bank i kamera się odcina. Widz wychodzi z kina z poczuciem, że zrobił coś fajnego. Że był po właściwej stronie. I wraca do świata, który nie zmienił się ani o milimetr.

Kilka lat później robiłem dokładnie to samo — tylko zamiast kina był Instagram, a zamiast napisów końcowych był zasięg. Romantycznie. Intensywnie. I bez żadnej odpowiedzi na pytanie, co po rewolucji.

...

Snowpiercer Bong Joon-ho był najtrudniejszy do analizy. I najbardziej uczciwy.

Akcja dzieje się na pokładzie pociągu jadącego przez zamrożoną Ziemię. Zamarzła, bo schładzając klimat, ludzkość przeszacowała pomiary. Pociąg obiega planetę bez przystanku i jest jedynym miejscem, gdzie ktokolwiek przetrwał.

Na pokładzie pociągu klasy społeczne są dostawne: biedota stłoczona w ostatnich wagonach żywi się białkiem z robaków, a bogaci rozkoszują się restauracjami sushi i salonami spa z przodu. Między nimi — żołnierze, konduktorzy, biznesmeni w garniturach. Każdy zna swoje miejsce. Mason — ekscentryczna przedstawicielka władzy zagrana przez Tildę Swinton — wyjaśnia: *„Jestem kapeluszem. Wy jesteście butami. Kapelusze nosi się na głowie, buty na stopach. Znajcie swoje miejsce i je zajmijcie.”*

To jest hegemonia Gramsciego podana na tacy. Klasa rządząca nie tylko kontroluje zasoby — kontroluje wyobraźnię. Wpaja przekonanie, że hierarchia jest naturalna, że każdy jest na właściwym miejscu, że sam porządek jest wartością. I robi to przez szkołę — jest w filmie scena w wagonie szkolnym, gdzie dzieci śpiewają hymny na cześć Wilforda, właściciela pociągu, i uczą się, że mieszkańcy tylnej sekcji to „leniwe psy, które piją własne odchody”. Indoktrynacja nie jest metaforą. Jest narzędziem opresji i zniewolenia.

Bong robi też coś nowego — pokazuje, że opór wobec systemu może być *przez system zaprojektowany*. W finale okazuje się, że Wilford — właściciel pociągu, bóg tego mikroświata — sam inspirował kolejne rewolucje. Nie ze strachu, nie z błędu. Z potrzeby. Bo niekontrolowany przyrost naturalny zagrażałby równowadze zamkniętego ekosystemu. Rewolucja była zaworem bezpieczeństwa. Bunt — formą kontroli populacji.

Kilka lat po spisaniu tych obserwacji siedziałem przed ekranem i obserwowałem, jak moje antykapitalistyczne memy napędzają zasięgi platform, które zarabiają na naszym gniewie. Ale w 2015 roku zapisałem je jako wniosek akademicki i nie wiedziałem jeszcze, że piszę o sobie.

...

Kino science fiction od zawsze było odbiciem lęków społecznych. W pierwszych dekadach XXI wieku filmy o zniszczonej przez chciwość Ziemi biły rekordy oglądalności, bo ludzie serio zaczęli myśleć o skutkach katastrofy klimatycznej. Filmy pokazywały różnice klasowe przez krzywe zwierciadło, bo nierówności ekonomiczne rosną dziś w tempie szybszym, niż ktokolwiek jest w stanie to przetworzyć. Kino krytykuje elity, ale o tym, że świat potrzebuje dobrej, nowej polityki klimatycznej, już niewiele powie.

Trzy filmy, z których wyciągnąłem wnioski opisane w skrócie powyżej, są produktami wielkich studiów filmowych — każdy kosztował dziesiątki milionów dolarów, każdy zarabiał więcej. Każdy chciał komentować nierówności. A jednocześnie każdy z tych filmów zarabiał na tym komentarzu. Antykapitalistyczna fabuła była towarem. Gniew na system był produktem.

Twórca *Wyścigu z czasem* zapytany o to, jak udało mu się sprzedać antykapitalistyczny scenariusz do Hollywood, powiedział wprost: „*Nie czytają scenariuszy na szczęście. Słyszą »niestarzejący się bohaterowie« i pytają, gdzie podpisać.*”

To zdanie zrobiło mi więcej z głową niż całe rozdziały teorii polityczno-społecznej.

Na ostatniej stronie swojej pracy napisałem: „*Antykapitalizm staje się towarem światowego kapitalizmu, napędzając system, który jednocześnie poddaje powierzchownej krytyce. Rządzące grupy społeczne dopuszczają głosy sprzeciwu na grunt zapewniający im zabezpieczenie pozycji dominującej, a głos alternatywny staje się po prostu towarem.*”

Jest w tej tezie jeszcze jeden zwrot, o którym mało kto dziś pamięta, kojarząc tę markę z logo Disneya. *Star Wars* zaczęło jako kino niezależne. George Lucas był twórcą w kontrze do systemu wielkich studiów — pierwszy *Star Wars* (1977) został odrzucony przez kolejne wytwórnie, a finansowanie przepchnął w Fox w zasadzie jeden człowiek, który uwierzył w reżysera po *American Graffiti*. Lucas zrezygnował wtedy z części honorarium za reżyserię w zamian za prawa do sequeli i do merchandisingu — Fox oddał je bez większych oporów, bo nikt w studiu nie wierzył, że zabawki z filmu mogą być cokolwiek warte. Lucas zaczął żyć paradoksem, ustawiając model, na którym stoi dziś całe Hollywood. Za zyski z sukcesu Lucas zbudował własne, niezależne studio poza Hollywood — właśnie po to, żeby nikt nie mówił mu, co ma kręcić.

I kręcił kino jawnie antytotalitarne. Amerykański imperializm i wojnę w Wietnamie skomentował bitwą o Endor — partyzanci z lasu pokonują przotechnologizowane imperium; sam mówił, że inspirował się Wietkongiem.

A Trylogia Prequeli, na której się wychowałem, jest w całości opowieścią o tym, jak demokracja umiera — nie przez zamach stanu, lecz na własne życzenie, oddana ludziom egocentrycznym, bezwzględny, nie liczącym się z cierpieniem całych narodów. „A więc tak umiera wolność” — mówi w tym filmie Padmé Amidala, patrząc, jak Senat oddaje władzę w ręce jednego człowieka — „wśród burzy oklasków”.

Lucas researchował upadki republik: Cezar, Napoleon, Hitler. „Demokracji się nie obala” — powiedział. „Demokracje się oddaje.”

A potem sprzedał to wszystko Disneyowi za cztery miliardy dolarów. Opór wchłonięty, zapakowany, opatrzone logo myszki. Przynajmniej Lucas wydał te pieniądze na edukację, a nie flotę luksusowych jachtów. Teza mojej pracy magisterskiej nie potrzebowała lepszego dowodu.

Jest jeszcze drugi powód, o którym dowiedziałem się dopiero w szkole filmowej. Ten sam obraz widziany przez człowieka z Europy i człowieka z Afryki czy Azji Wschodniej — to nie jest ten sam obraz. Badacze pokazywali tym samym grupom te same fotografie i pytali, co na nich widzą. Europejczycy i Amerykanie skupiali się na obiekcie na pierwszym planie — na tygrysie, na człowieku, na budynku. Azjaci i respondenci z kultur kolektywistycznych widzieli najpierw tło, kontekst, relację między elementami. Ktoś, kto nigdy nie widział morza — widzi na zdjęciu plaży coś zupełnie innego niż ktoś, kto spędził na niej dzieciństwo. Czytania obrazu też trzeba się nauczyć. Kontekst kulturowy jest soczewką, której nie da się zdjąć.

Marzyłem, że filmem zmienię świat. Że nakręcę coś ważnego i widzowie wyjdą z kina przemienieni. Ale jeśli każdy widzi na ekranie co innego — co właściwie mam nadzieję przekazać? Nie zrezygnowałem z wiary w kulturę. Zrezygnowałem z wiary w to, że kultura wystarczy.

Nie ma czystego miejsca poza systemem, z którego można go krytykować. Każde narzędzie oporu pochodzi od kogoś, kto na tym oporze zarobi. Wiedza — lodowata i precyzyjna — nie sprawia jednak, że znika chęć działania.

ZASIĘG

„You shoot me down, but I won't fall — I am titanium.” — David Guetta ft. Sia, *Titanium*

Zobaczyłem pięść, zanim usłyszałem cokolwiek.

8 marca 2020. Idę sam przez park w kierunku miejsca manifestacji ulicznej w obronie praw kobiet. Wiosna jeszcze się nie zaczęła, ale powietrze jest już inne — ta specyficzna Łódź na przelocie, kiedy błoto jest jeszcze wszędzie, ale w nim już coś kiełkuje. Nadchodzi wiosna, a ja wychodzę z kryzysu — czuję to.

Trzech gości. Nie wiem, skąd się wzięli. Jeden staje przede mną, dwaj z boków, widzę pięść i słyszę: „*jebać antifę*”.

Odwracam się i biegnę. Niedaleko tłum ludzi, przejście dla pieszych.

Uderzyli słabo. Zadzwoiłem po znajomych z PPS — ale agresorów już nie było. Demonstracja i tak się odbyła. Życie potoczyło się dalej.

To był pierwszy raz, kiedy ktoś mnie uderzył. Przez długi czas nie wiedziałem, co z tym zdarzeniem zrobić. Było za małe na traumę, za duże na anegdotę. Ktoś widział we mnie zagrożenie — a ja, wtedy, nie do końca wiedziałem, co we mnie widzi. Ale jedno wiedziałem na pewno: ciało w przestrzeni publicznej coś kosztuje. Nie zawsze, nie wszędzie — ale może kosztować. I ten koszt jest realny w sposób, którego żaden ekran nie jest w stanie oddać ani zastąpić.

Dwa tygodnie później rząd ogłosił lockdown. Zaczęła się pandemia Covid-19.

Ledwo zacząłem się czuć komfortowo w aktywizmie osadzonym w przestrzeni fizycznej — życie przeszło w online.

...

Bo po raporcie IPCC z 2018 roku poczułem, że trzeba działać ciałem, nie tylko głową — i w sposób bardziej zorganizowany niż dotąd. Działałem razem z Extinction Rebellion — oddolnym ruchem społecznym, który wtedy budował swoją obecność w Polsce — i z innymi: Strajk dla Klimatu, Rodzice

dla Klimatu. Byłem z nimi, bo oni byli — przejmowali się tym, czym przejmuję się ja.

Pomagałem organizować happeningi, demonstracje, malowałem banery. Stałem w deszczu z transparentem. Kleiłem plakaty. Montowałem filmy. I przychodziłem na spotkania, na których zawierałem więzi na dłużej — nowe środowisko, nowi ludzie, poczucie, że wreszcie jestem gdzieś, gdzie może uratuję świat.

Konto na Instagramie założyłem przed pandemią, ale jeszcze nie wiedziałem, co z nim zrobić. Kilka postów, eksperymentowanie z językiem, szukanie głosu. W lockdown profil stał się moją gniewną tubą.

Główną motywacją i uzasadnieniem dla ostrego języka była chęć „przesunięcia Okna Overtona”. To koncepcja prosta i brutalna zarazem: w każdym społeczeństwie istnieje wąski zakres poglądów, które są uważane za dopuszczalne, rozsądne, normalne. To, co leży poza tym oknem, jest radykalne, niebezpieczne, nie do pomyślenia. Ale okno można przesuwąć. Nie przez przekonywanie centrum — przez normalizację skrajności. Jeśli ktoś krzyczy wystarczająco głośno z jednej strony, to, co wcześniej było radykalne, zaczyna wyglądać umiarkowanie.

Blisko temu do strategii negocjacji — zawsze żądaj więcej, niż oczekujesz, aby zapewnić sobie pole manewru do ustępstw.

Konfederacja Mentzena zyskuje, kiedy obok stoi Braun — bo na tym tle brzmi jak zdrowy rozsądek. Tak działał alt-right: ruch, który narodził się w internetowych norach, w środowiskach młodych mężczyzn sklejonych gniewem i poczuciem przegranej, i który powoli — przez memy, przez ironię, przez stopniowe osvajanie faszyzmu — przesunął granicę tego, co wypowiedziane publicznie nie kończy kariery. Trump jest objawem, nie przyczyną. Przyczyną były lata „przesuwania okna”. Przed pandemią konsensus był taki, że to prawica wygrała internetową „wojnę na memy”.

Polska scena polityczna jest przesunięta mocno w prawo. „Lewica Razem” prezentuje program, który w Europie Zachodniej byłby umiarkowaną socjaldemokracją — a u nas uchodzi za radykalną. Chciałem więc krzyczeć

głośniej. Pokazać moją radykalną stronę — żeby to, co umiarkowane, zaczęło brzmieć umiarkowanie.

...

Wcześniej to ulica była centrum działań, a Instagram był czymś obok. Marzec 2020 zamknął ten rozdział. Lockdown nastął nagle i wyglądał jak przejściowy. Ale trwał coraz dłużej. Nikt nie wiedział jeszcze, co to oznacza dla Polski, dla Łodzi, dla demonstracji, która miała się odbyć w przyszły weekend.

Demonstracja się nie odbyła. Przestrzeń publiczna zamknęła się jak drzwi od mieszkania. Ja zostałem ze smartfonem, komputerem, wiedzą, ambicją, wolnym czasem i pytaniem: co teraz?

Odpowiedź przyszła szybko — bo właściwie już ją miałem: Instagram. Skoro ciało nie może wyjść na ulicę, to przynajmniej głos może docierać. Skoro nie możemy stać razem — możemy chociaż razem myśleć. Tak sobie to tłumaczyłem.

Zacząłem pracować na koncie po dziesięć, dwanaście godzin dziennie. Ale „praca” to złe słowo na to, co się wtedy działo. Byłem w obsesji — tej dobrej, która daje poczucie, że nareszcie wiesz, po co wstajesz. Memy, analizy, infografiki, komentarze bieżących wydarzeń. Żyłem w trybie, który byłby nie do utrzymania w innym czasie, ale pandemia zabrała mi wszystkie powody, żeby z niego wychodzić.

Dobrze wspominam ten czas. Pracowałem w środku nocy, budziłem się po dwóch godzinach snu do alarmu o ósmej, bo o ósmej rano posty chodzą najlepiej. Publikowałem, wchodziła dopamina, i wtedy przychodziła wena. Pisałem dalej. Miałem notatnik pełen tekstów, manifestów, szkiców — wiele odrzucałem, byłem i jestem wobec siebie bardzo krytyczny. Ale te poranne godziny, kiedy świat budził się do pracy, a ja pisałem o rzeczach, które mnie pałą — to są jedne z lepszych wspomnień z tamtego czasu. Około południa padałem spać. Budziłem się po siedemnastej, gdy za oknem głos z osiedlowych megafonów niósł się między blokami: „uwaga, jest stan epidemii...”. Potem oglądałem memy, robiłem memy, pisałem z ludźmi, udostępniałem relacje. I tak do rana.

Kilka tysięcy obserwujących. Potem kilkanaście tysięcy. Więcej niż się spodziewałem, a przecież świadomie ograniczyłem się do języka polskiego i polskiej polityki. Czułem, że to bardzo dużo jak na temat, który przez całe życie wydawał mi się niszowy, niesłyszalny, trochę wariacki. To, co dla mnie jest oczywiste — kapitalizm, katastrofa klimatyczna — krzyczę o tym, a inni nie słyszą, albo patrzą, jakbym mówił w innym języku. Całe życie miałem poczucie, że jestem nie z tej epoki albo nie z tego miejsca. A tu dwadzieścia tysięcy osób, które wybierają, żeby to czytać — to było dla mnie potwierdzenie, że nie jestem sam w tej głowie. Że ktoś jeszcze to widzi. Posty rozchodziły się dalej. Setki tysięcy wyświetleń. Potem pierwszy viral — ponad milion.

Satysfakcja była realna. Tego nie chcę udawać.

Ale gdzieś pod nią rosnę pytanie, którego jeszcze nie umiałem sformułować. Czy to jest ten sam aktywizm co stanie w deszczu z transparentem — tylko szybszy, skuteczniejszy, docierający dalej? Czy to jest coś innego? I jeśli coś innego — to co?

...

W październiku 2020 roku, w samym środku pandemii, Trybunał Konstytucyjny opanowany przez PiS ogłosił orzeczenie w sprawie aborcji.

Myśleli, że nikt nie wyjdzie. Że pandemia ich ochroni. Że ludzie boją się wychodzić, że zakaz zgromadzeń, że stan epidemii, że policja. Pomylili się. Wyszliśmy, choć zgromadzenia były nielegalne.

W samym szczycie protestów wyszedłem z siostrą. Ona rzadko chodzi na demonstracje — to nie jest jej forma, jest inaczej obecna w tym świecie. Że wyszła tego dnia, mówiło coś o tym, co się działo. Nie tylko ona. Prawie wszyscy znajomi z mojej nowej pracy wyszli — nie dlatego, że ktoś namawiał. Po prostu demonstrowali gniew we wspólnej sprawie.

Łódź wyszła na ulice w liczbie, której nikt nie pamiętał — największa demonstracja w historii tych protestów w mieście. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Blokowaliśmy ulice, skrzyżowania, ronda — ale to nie był chaos, to było świętowanie. W oknach i na balkonach stali ludzie i machali. Miasto, które

zwykle jest szare i zamknięte — otworzyło się. Prawdziwy zryw społeczny, a nie uliczny performans.

W tamtym czasie prawie codziennie na nadgarstku miałem napisany mazakiem numer telefonu do prawnika, który pro bono pomagał zatrzymanym. Czasem były przepychanki, aresztowania — ale nie aż tak ostro, jak w Warszawie.

Na wszystkich demonstracjach w tamtym okresie policja jeździła samochodami z głośnikami i puszczała zapętlone komunikaty: że stan epidemii, że zgromadzenia nielegalne, że prosimy o rozejście się. Słyszano się to co kilka minut, w kółko, przez całe miasto — i z czasem przestawało się odróżniać od tła. Taka była normalność tamtego czasu: mechaniczny głos informujący, że to, co robisz, jest zakazane, a ty stoisz i nie odchodzisz, i wiesz, że możesz być w każdej chwili zatrzymany.

Tego dnia z siostrą szliśmy przez kilka godzin. Prawie trzydzieści tysięcy kroków, przy średniej z poprzednich dni nieprzekraczającej u mnie tysiąca. Dobrze pamiętam to poczucie, którego ekran nie ma jak dać: że jesteś częścią czegoś, co jest większe od ciebie, i że to coś ma ciężar, ma temperaturę, ma oddech. Pamiętam moment, kiedy skądś z przodu dotarła wiadomość — karetka jedzie na sygnale. Przekazywana z ust do ust, od człowieka do człowieka, aż tłum dziesiątek tysięcy osób zaczął się rozsuwać. Korytarz życia — w środku nielegalnej demonstracji, w środku pandemii. Nikt tego nie koordynował. Po prostu tak się stało.

Strajki w obronie praw kobiet złamały tabu: ulica wraca do gry. Wróciły więc strajki klimatyczne, demonstracje propracownicze, marsze równości.

To był pierwszy — i jedyny — raz, kiedy brałem udział w protestach samochodowych. Umawialiśmy się w grupkach na Facebooku na konkretny rejon i godzinę, zjeżdżaliśmy się na miejsce i jechaliśmy na awaryjnych, maksymalnie powoli. Łączność w konwoju szła głosem, przez aplikację mobilną działającą jak internetowe CB radio — tego mniej typowego doświadczenia aktywistycznego nigdy nie zapomnę. To jest obywatelskie nieposłuszeństwo — ta sama kategoria, do której należą taktyki Extinction Rebellion i dzisiejszych ruchów jemu podobnych. Teoria ruchów społecznych, którą poznałem na studiach, mówi to jasno: żeby protest

wywołał jakąkolwiek zmianę, musi kosztować, musi wprowadzać chaos i utrudnienia. Bez tego jest tylko ładnie wyglądającym performensem.

Wierzę, że zmiany nie da się wywołać czysto pokojowo, bez utrudnień dla kogokolwiek. Ale wiele ruchów i spraw straciło przy tym dobry wizerunek — przez niezrozumienie społeczne albo przez celowe naginanie narracji przez media. Dlatego współczesne ruchy społeczne potrzebują dziś PR-owców i marketingowców. Niestety. Narzędzi wroga.

W Extinction Rebellion widziałem te taktyki od środka. Ale sam wchodziłem raczej w rolę osoby odpowiedzialnej za deeskalację konfliktów, niż aktywisty przyklejonego do asfaltu. Tej formy protestu akurat sam osobiście nie czułem. A wieszanie banerów klimatycznych po nocach wspominam jako mieszankę strachu i poczucia dumy.

Żadna demonstracja nie powtórzyła jednak później tamtego zrywu łódzkiego w obronie kobiet. Nic tego nie powtórzyło. Czy to coś dało? Gdy piszę te wspomnienia kilka lat później, prawo aborcyjne wciąż nie zostało zliberalizowane.

Z czasem do ruchu na rzecz praw kobiet zaczęto podpinać kolejne tematy. Z konkretnego — walka o wszystko, i w efekcie o nic.

Przeżyłem jednak coś prawdziwego — ciało w tłumie, megafon, siostra obok, korytarz, który sami zrobiliśmy dla karetki. I zamieniałem te doświadczenia na treści agitacyjne na Instagramie. Tak wyglądało moje działanie — wszystkie moje działania od marca: przez ekran, przez język, przez zasięg.

„System, który działa sprawnie, nie potrzebuje przemocy” — napisałem w pracy magisterskiej, analizując *Wyścig z czasem*. Wystarczy arytmetyka. A czy ta arytmetyka może zadziałać też na mnie? W połowie 2020 roku przestałem się zastanawiać.

Szukałem wtedy pracy — wysyłałem CV do kilku łódzkich korporacji. Miałem dwie wersje. Jedną czysto zawodowo-edukacyjną. Drugą z portfolio filmowym — etiudy, które produkowałem, montowałem, w których grałem rolę. W tej drugiej był mój krótkometrażowy film *Schody Mordoru*.

Scenariusz do tego filmu napisałem pewnego ranka, siedząc w toalecie, w przypiływie natchnienia. Na planie biegłem z mikrofonem i nosiłem sprzęt. Dzień później montowaliśmy film z kumplem przy pizzy. Dyktowałem do mikrofonu zdania: „*Mordor. Bieżnia dla niekończącego się wyścigu szczurów. Szklane budynki odbijają błękit nieba.*”

Chodziło o warszawski Mordor — dzielnicę biurowców na Stłużewcu, dokąd przez lata jeździłem w ramach obowiązków zawodowych. Patrzyłem wtedy na te szklane budynki jak na akwaria. W środku — organizacje, które działały lepiej albo gorzej. Wzorce, które rozpoznawałem, bo znałem je już ze świata polityczno-społecznego.

Do jednej z korporacji omyłkowo wystąpiłem złą wersję CV — tę z listą filmów. Pierwsza rozmowa poszła dobrze. Druga dużo gorzej. Kilka dni później zadzwonili, że pracy nie dostanę. Rozmówca, zanim się rozłączył, przyznał się do czegoś: znalazł w sieci *Schody Mordoru*. Nie rozumiał, po co szukam pracy w korporacji, skoro tak na to wszystko patrzę.

Wkrótce potem zacząłem pracę w agencji marketingowej.

...

Wsiąkając w Instagram przez kilkanaście miesięcy lockdownu, nauczyłem się o ekosystemie cyfrowym więcej niż z jakiegokolwiek książki. Zobaczyłem, jak działa uwaga i zasięg. Jak platforma nagradza pewne emocje i karze inne. Praca w agencji była naturalnym krokiem — chciałem zobaczyć ten system od środka, od strony inżynierii, nie tylko od strony użytkownika, który wpatruje się w słupki.

Żeby skutecznie walczyć z algorytmem — musisz go rozumieć. Żeby go rozumieć — musisz mu służyć. To mój paradoks i mój grafik pracy. Mam miejsce blisko maszynierii — widzę, jak działają korporacje, biznes, digital, co marketerzy robią z twoimi danymi i jak budują architektury wpływu. Moja praca polega na projektowaniu systemów do przedzierania się przez szum informacyjny internetu. Ileż jest tu niuansów!

Rano patrzę, jak walczyć o uwagę w imieniu klientów biznesowych. Wieczorem robię to samo w imieniu własnych przekonań. Narzędzia identyczne. Logika identyczna. Różnią się treść i wpływ.

Za tysiące godzin na Instagramie nie zarobiłem nic. Meta zarabiała za to na każdym moim poście. Firmy zarabiały na reklamach, które świeciły się obok mojego antykapitalizmu. Gdzieś pomiędzy jednym a drugim siedziałem teraz zawodowo z poczuciem, że robię coś ważnego — ale z coraz mniejszą pewnością, czym to coś właściwie jest.

Ta jesień była szczytem pandemii. Była też — wiem to teraz — czasem zbliżenia się do systemu: nowa praca, największe protesty, próba naprawienia rytmu dobowego, który nigdy nie wrócił do normy. Byłem istotą nocy, jestem nią do dziś. I postanowiłem tę noc spożytkować — jedną ręką pracując dla agencji, drugą budując coś własnego. W środku lockdownu, w środku największego zrywu społecznego od lat, w środku pandemii. Myślałem, że zaczynam. Że to dopiero początek.

Wiosna 2021 wyglądała już inaczej.

Szczepienia, kolejne mutacje wirusa, powrót do „normalnego życia” — ostrożnie, z nową rutyną. Na moich zdjęciach z tamtego okresu — marsze równości, klimatyczne happeningi, obchody PPS, malowanie banerów w siedzibie partii, imprezy, wspólny czas. Nie noszę już maseczki. Powietrze ciepłe. Energia inna niż wcześniej.

...

Strach, który poczułem w parku 8 marca, był prosty i czytelny. Pięść, ciało, ucieczka. Nie zapomnisz o nim.

Strach, który rósł przez cały tamten rok, był inny. Nie miał twarzy ani adresu. Przychodził w komentarzach, w wiadomościach, czasem w postaci zorganizowanych ataków. Nauczyłem się to ignorować — a przynajmniej udawać, że ignoruję. Przemoc online jest mniej realna od przemocy w parku. Mniej realna — ale nie mniej skuteczna.

Z czasem zaczął mi towarzyszyć inny rodzaj niepokoju — spokojniejszy, bardziej chroniczny. Przestałem myśleć o tym, czy zmieniam świat. Zacząłem myśleć o tym, kiedy puścić post, żeby miał największy zasięg. Cenzurowałem sam siebie — bo platforma karze niektóre treści, bo algorytm lepiej niesie emocje niż analizę, bo cenzura zasięgów jest prawdziwą cenzurą, nawet jeśli nikt cię nie zatrzymuje. Wchodziłem w

obsesyjne śledztwa: dlaczego ten post poszedł wiralem, a tamten — z którego byłem naprawdę dumny — przeszedł niemal bez echa? Co to mówi o ludziach? Co to mówi o mnie? Co to mówi o tym systemie, który chcę zrozumieć — i który rozumiem coraz lepiej, i który dlatego coraz bardziej mnie niepokoi?

Lęk nie sprawił, że przestałem. Sprawił, że zacząłem działać inaczej — bardziej mechanicznie, bardziej strategicznie, coraz mniej w kontakcie z tym, po co w ogóle zaczynałem.

Nie wiem, od kiedy dokładnie zdarzył się ten przeskok. Wiem, że się zdarzył.

Czy dwadzieścia tysięcy followersów, kilka viralów i rok w algorytmie zmieniły cokolwiek? Czy gniew, który wkładałem w posty, trafiał do ludzi, którzy go nie mieli — czy trafiał do tych, którzy już byli po tej samej stronie co ja, żeby ich utwierdzić? Czy budowałem ruch, czy echo?

Tych pytań nie rozstrzygnę. Mechanizm za nimi rozumiem coraz lepiej — i myślę, że warto o nim mówić głośno. Jak działa zasięg. Jak działa propaganda. Jak dezinformacja nie jest błędem systemu — jest jego funkcją. Uważam, że każdy powinien chociaż wiedzieć, o co w tym chodzi.

Ale żeby zrozumieć ten mechanizm do końca — muszę wrócić do biurka, przy którym już wtedy siedziałem. Do miejsca, z którego patrzyłem na system nie jak użytkownik, ale jak ktoś, kto go obsługuje.

DIGITAL

Creatures of my dreams - raise up and dance with me!

Now and forever

I'm your KING!

— Anthony Gonzalez, M83, *Outro*

Biurko, do którego wracam, stoi w agencji digital marketingu. Człowiek, który przez kilkanaście miesięcy pisał antykapitalistyczne manifesty na platformie korporacji wartej biliony dolarów, usiadł przy nim, żeby zarządzać kampaniami reklamowymi dla największych firm w Polsce. Czasem życie nie potrzebuje ironii. Samo ją produkuje.

Rola Account Managera przypomina rolę dyplomaty. Prowadzę w imieniu agencji misje do Klientów — firm i korporacji, najczęściej znanych marek, liderów w swoich branżach. Odpowiadam za jakość pracy zespołu, koordynuję realizację, prowadzę relacje biznesowe. Mój licencjat ze stosunków międzynarodowych okazał się w tym nieoczekiwanie użyteczny: dyplomacja to dyplomacja, niezależnie, czy rozmawiasz o traktatach, czy o kampaniach Google Ads.

Zawodowe rzemiosło jest obojętne na światopogląd — te same umiejętności prowadzą kampanię niezależnie od tego, co promują.

Ale praca nauczyła mnie czegoś, co było trudniejsze do polubienia. Marketing jest wojną o uwagę — dosłownie. Każda kampania, każdy post, każdy baner walczy o ten sam zasób: sekundy, w których ktoś patrzy na ekran. Zasób skończony. Człowiek ma tyle samo czasu, co miał zawsze — ale patrzy w ekrany coraz dłużej i robi to coraz bardziej intensywnie. „Ścieżka zakupowa”, której teorię poznałem na studiach, stała się dziś chaotyczna i impulsywna. Ponadto rośnie liczba podmiotów, które chcą nasz czas przed ekranem zagospodarować.

Dopamina nie jest cząsteczką nagrody — nie ona odpowiada za przyjemność, kiedy coś dostajesz. Dopamina to cząsteczka *oczekiwania*. Wydziela się, gdy czegoś pragniesz, gdy gonisz, gdy jesteś o krok. A kiedy już dostajesz — opada i zaczyna szukać następnego celu. Dlatego pętla nigdy

się nie domyka: nie trzyma cię przy ekranie samo zdobycie, tylko wieczne bycie-tuż-przed. A intensywność tych pętli rośnie dziś w tempie, którego żaden ewolucyjny mechanizm biologiczny nie jest w stanie przetworzyć bez negatywnych konsekwencji zdrowotnych.

...

Google Ads. Meta Ads. Programmatic — reklamy licytowane w milisekundach, zanim strona się załaduje. SEO — walka o to, czy wyszukiwarka i modele AI w ogóle o tobie wiedzą. W praktyce od twojego marketingu zależy, czy świat dowie się o twojej marce. Jeśli AI o tobie nie wie, to znaczy, że nie istniejesz.

Zresztą od treści pod wyszukiwarki zaczęła się moja droga w tej branży. Zaraz po studiach magisterskich ktoś zauważył, że mam całkiem niezłe pióro. To miłe — a wtedy dawało też zarobek: copywriting, czyli wypełnianie stron internetowych tekstami, które podbijają ich pozycję w rankingach wyszukiwarek. Przez dwa lata napisałem kilkadziesiąt artykułów zachęcających do inwestowania w złoto. Sam nigdy nie kupiłem złota.

Czekasz na odpowiedź na pytanie: czy reklamodawcy podsłuchują przez smartfony twoje prywatne rozmowy? Pytanie zasadne, bo pracuję w branży, która zbiera dane do kierowania reklam.

O ile wiemy — telefon nie słyszy twoich rozmów. Targetowanie reklam to kwestia statystyki, arytmetyki, danych, uśrednienia zachowań. Dzień po rozmowie z koleżanką o ślubie widzisz reklamy sukni ślubnych? Tak, bo pasujesz demograficznie do target group (wiek, płeć, miejsce zamieszkania, kogo masz w znajomych) albo ktoś z twojego komputera szukał informacji o czymś związanym z branżą ślubną (remarketing opiera się na tym, czego szukamy i na jakie strony wchodzimy).

Codziennie widzisz w internecie dziesiątki reklam, których większość zapominasz. Zapamiętujemy te bliżej naszego kontekstu — którym mogła być wcześniejsza rozmowa z kimś bliskim. A algorytm świetnie zna zarówno ciebie, jak i miliardy innych ludzi zamieszkujących Ziemię. I nasze doświadczenia nie są unikatowe — nasze zachowania są statystycznie przewidywalne, nawet osób tak wyjątkowych jak ty.

W codziennej pracy agencji analityka to dane agregowane: ile osób weszło na stronę, skąd, ile czasu spędzili, na którym kroku procesu zakupowego odeszli. Google Analytics (lub podobne narzędzia) zbiera zdarzenia: kliknięcia, przewijanie strony, wypełnienie formularza, obejrzenie wideo. Nie zbiera imion. Nie wie, że to ty. Wie, że ktoś z Kalisza, z Androida, w środę o 19:42, spędził dwie minuty trzydzieści sekund na stronie z produktem X i wyszedł przed dodaniem do koszyka.

Ten „ktoś” to nie ty — to profil zachowania. Anonimowy. Ale przydatny, bo pozwala zrozumieć, gdzie tracimy użytkowników.

Brzmi niegroźnie. I na tym poziomie — jest niegroźnie. Problem polega na tym, że nie cały internet działa jak nasza agencja. A digital marketing to tylko jedna z wielu składowych cyfrowego systemu. Systemu, gdzie władzę ma ten, kto kontroluje przestrzeń i algorytm. Systemu, gdzie władzę mają głównie amerykańskie i chińskie korporacje.

Są ciasteczka, które tylko pamiętają, że jesteś zalogowany albo że masz coś w koszyku. I są ciasteczka śledzące — zostawiane przez zewnętrzne serwisy, głównie Google i Meta, obecne nie na jednej stronie, ale na tysiącach jednocześnie. Wchodzisz na stronę z butami. Wychodzisz. Następnego dnia widzisz reklamy butów na Facebooku, na portalu informacyjnym, na stronie z przepisami. To nie przypadek, lecz po prostu remarketing — reklama skierowana do kogoś, kto już wykazał zainteresowanie produktem.

Remarketing działa. Jest jednym ze skuteczniejszych formatów reklamowych, które znam. I jest — w odpowiednich branżach, z odpowiednimi ograniczeniami — całkowicie legalny i etycznie neutralny. Chcesz kupić buty, widzisz reklamy butów.

Ale co jeśli branżą są usługi medyczne?

Tu właśnie zaczyna się to, co regulacje próbują opanować. W Polsce i w UE remarketing w branży medycznej jest ograniczony — bo remarketing oparty na danych zdrowotnych oznaczałby, że my, marketerzy, wiemy, na co chorujesz. Że wiemy, iż wchodziłeś na strony o depresji, o problemach z trzymaniem moczu, o leczeniu uzależnień. I że teraz możemy ci serwować reklamy leku na depresję, gdy czytasz cokolwiek w sieci.

Nie możemy. Przepisy mówią nie. RODO mówi nie. I to jest jeden z momentów, gdy jestem wdzięczny biurokratycznej Unii Europejskiej za jej szczegółowość. Bez regulacji marketing działałby jak dziki zachód — korporacje wiedziałyby wszystko i nie miałyby ograniczeń, żeby wykorzystać tę wiedzę do wciskania ci wszystkiego, co się da.

W Polsce — i w Unii Europejskiej — kontrola nad prywatnością i przetwarzaniem danych osiągnęła wysoki poziom. Dużo zawdzięczamy biurokracji, kiedy jest ona prowadzona rozsądnie i w interesie ochrony społeczeństwa przed bezwzględnością wolnego rynku.

Jeśli chcesz widzieć mniej reklam — odmawiaj ciasteczek, blokuj reklamy, wyłącz śledzenie w ustawieniach aplikacji. To jest plaster na dziurę w beczce wody (jak w memach), a nie rozwiązanie systemowe. Ale plaster działa.

Powiem wprost, żeby nie było nieporozumień: nie jestem wrogiem marketingu. To mój zawód i wierzę, że można go uprawiać uczciwie. Ale właśnie dlatego, że jestem w środku, zależy mi na zdrowym ekosystemie cyfrowym — takim, który nie truje ludzi, na których zarabia. A ten ekosystem zdrowy nie jest. Meta sukcesywnie wyświetla mi w feedzie reklamy substancji i usług zakazanych, których nikt nie zdejmuję, oraz toksyczne reklamy „dziewczyn AI”. Brytyjska organizacja Male Allies UK przepytала ponad tysiąc chłopców w wieku dwunastu–szesnastu lat: co piąty jest w relacji z „dziewczyną AI” albo zna kogoś, kto jest. Co trzeci przyznaje, że czasem woli rozmowę z botem niż z rodziną. Niektórzy mówią wprost, że zapominają, iż po drugiej stronie nie ma człowieka. To drapieżnictwo z interfejsem reklamy, a nie marketing.

...

Wyjdźmy teraz zza mojego biurka. Na poziom, gdzie sprawy przestają być nudne, a zaczynają być groźne.

Algorytm. Rzecz, której nikt z nas nigdy nie widział.

Technicznie algorytm działa racjonalnie w oparciu o dane o zachowaniach miliardów ludzi. Platformy prowadzą nieustanny eksperyment: równolegle testują tysiące wariantów tego, co ci pokazać i w jakiej kolejności. Mierzą,

gdzie zatrzymał się twój kciuk, i zestawiają cię z milionami profili zachowań podobnych do twojego. Nie szukają prawdy ani nawet tego, co ci się podoba. Szukają zapalnika — treści, która akurat u ciebie wywoła reakcję dość silną, żebyś został dłużej i obejrzał więcej reklam. U kogoś innego zapalnikiem będzie coś zupełnie innego. To jest personalizacja, w której celem nie jest twoja satysfakcja, tylko twój czas.

Kiedyś, słysząc grzmot, nie wiedzieliśmy nic o ciśnieniu i ładunkach elektrycznych, więc tłumaczyliśmy go gniewem boga. Dziś wiemy, skąd bierze się grzmot. Ale o sile, która realnie układa nam dzień — decyduje, co zobaczymy, na co się wkurzymy, kogo znielubimy — wiemy mniej więcej tyle, co tamci o piorunach. Wiemy, że działa. Nie wiemy, jak dokładnie, bo nikt nam nie pokaże. Kod jest tajny, wyniki są tajne, a jedyne, co widać, to skutki na własnym nastroju. Zbudowaliśmy sobie nowe bóstwa pogody i oddaliśmy im uwagę całej cywilizacji.

...

2016 rok. Wybory prezydenckie w USA. Cambridge Analytica — firma doradztwa politycznego — pozyskuje dane 87 milionów profili na Facebooku. Nie przez włamanie. Przez quiz osobowościowy, który zapłacił użytkownikom dwa dolary za wypełnienie — i przy okazji zbierał dane ich znajomych, bo platforma na to pozwalała. Z tych danych buduje psychograficzne profile wyborców. Pięć typów osobowości, pięć różnych wersji tej samej wiadomości politycznej. Do ludzi z wysokim poziomem neurotyczności — reklamy bazujące na strachu przed napadami. Do sumiennych — reklamy o ochronie rodziny. Ta sama polityczna treść, kompletnie inny mechanizm manipulacji.

Cambridge Analytica pracowała dla kampanii Trumpa. Chwaliła się pracą dla kampanii Brexitu — choć trzyletnie śledztwo brytyjskiego regulatora nie znalazło dowodów, by wyszła tam poza wstępne rozmowy. Firma zbankrutowała po skandalu w 2018 roku — Facebook zapłacił pięć miliardów dolarów kary, co stanowiło mniej więcej miesiąc jego przychodów. Wycena spółki wzrosła w dniu ogłoszenia kary.

Wampir pilnuje banku krwi — napisał o tym ktoś trafnie.

Ale Cambridge Analytica to tylko jeden przypadek, o którym wiemy wszystko: co, jak i kiedy. Ile takich firm nie wpadło?

...

Birma. 2017 rok.

Facebook był tam — jak to określił raport ONZ — „Internetem”. Nie platformą. Całym Internetem. Dla większości mieszkańców Myanmar nie istniał żaden inny dostęp do sieci. W tym środowisku armia birmańska przez lata systematycznie siała na Facebooku nienawiść wobec muzułmańskiej mniejszości Rohingya. Fałszywe doniesienia o atakach, dehumanizujące memy, wezwania do przemocy.

Algorytm Facebooka, zaprojektowany do maksymalizacji zaangażowania, wzmacniał te treści. Bo zaangażowanie to zaangażowanie — platforma nie odróżnia oburzenia od aprobaty. *Inflammatory content drives engagement. Engagement drives revenue*. To jest funkcja systemu, nie jego wada.

W 2017 roku wojsko rozpoczęło „operacje oczyszczania”. Ponad 700 tysięcy Rohingya uciekło do Bangladeszu. Tysiące zabitych. Raporty ONZ mówią o ludobójstwie. Amnesty International stwierdza, że Facebook wiedział o ryzyku od 2012 roku — własne wewnętrzne badania to dokumentowały. Wiedział i nie zareagował wystarczająco.

Jeden z ocalałych powiedział: „Wierzimy, że ludobójstwo było możliwe tylko dlatego, że był Facebook.”

Firma nie zapłaciła żadnego odszkodowania. Rohingya wciąż czekają. Sprawa jest w Międzynarodowym Trybunale Sprawiedliwości.

Nie pierwszy raz medium masowe przygotowało rzeź. W Rwandzie w 1994 roku wystarczyło zwykłe radio — Radio Tysiąca Wzgórz miesiącami nazywało Tutsi karaluchami, a potem podawało na antenie adresy ukrywających się. Dziś ten sam mechanizm ma algorytmiczny dopalacz i miliardy oczu wlepionych w smartfony.

...

Rumunia. Listopad 2024.

Călin Georgescu — nacjonalista, sceptyk szczepionek, działający pośrednio na rękę Putinowi — osiągał w sondażach około 1% poparcia na trzy tygodnie przed wyborami. Nikt o nim nie słyszał. Nie wydał na kampanię — według oficjalnych deklaracji — ani złotówki.

Wygrał pierwszą turę z 23% głosów.

TikTok. 25 000 kont, część uśpionych od 2016 roku, aktywowanych nagle w listopadzie 2024. Skoordynowane hashtagi. Influencerzy zarabiający po tysiąc euro za dystrybucję treści. Polityczny content klasyfikowany przez algorytm jako „rozrywka” — co zwalniało go z wymogów transparentności dla reklam politycznych. Jego filmiki: krótkie, emocjonalne, zakorzenione w narodowych symbolach, dzieciach, flagach, muzyce. Obietnica wyzwolenia Rumunii spod „obcej kontroli”. Wzrost poparcia o 223% w ciągu tygodnia.

Trybunał Konstytucyjny unieważnił wybory. Rumunia jest pierwszym krajem w Unii Europejskiej, który anulował wybory prezydenckie z powodu cybernetycznej manipulacji. Komisja Europejska wszczęła postępowanie przeciwko TikTok na podstawie Digital Services Act.

TikTok należy do ByteDance. ByteDance jest chińską firmą. Chińskie prawo zobowiązuje firmy do współpracy z wywiadem państwowym na żądanie.

TikTok to zresztą tylko najbardziej polityczna twarz chińskiej ekspansji. W kilka lat AliExpress i Temu przeorały europejski e-commerce — bywały okresy, kiedy Temu wyprzedzało w rankingach popularności Allegro. Mechanika zawsze ta sama: absurdalnie niskie ceny na pierwsze zamówienie, a potem marketing automation w wersji maksymalnie agresywnej. Newslettery krzyczące, że „zostałeś wybrany”. „Gratulacje”. „Twoja płatność została zwrócona w formie kredytu”. Kasyno przebrane za sklep.

...

Algorytmy kształtujące przestrzeń publiczną kontrolowane są przez amerykański sektor prywatny. Meta. Google. X. Ten sam sektor prywatny, którego właściciele i prezesi w 2025 roku zajęli miejsca w pierwszym rządzie na inauguracji Donalda Trumpa. Siedzieli tam jak wasale składający hołd lenny — Zuckerberg, Musk, Bezos, Pichai. Hołd człowiekowi, który mówi o

aneksji Grenlandii i Kanady. Człowiekowi, którego retoryka jest cytatem z podręczników autorytaryzmu. Człowiekowi, który chce osłabić NATO. Człowiekowi, który zrobi wszystko, żeby przestano mówić o sprawie Epsteina.

I ten człowiek ma po swojej stronie właścicieli algorytmów, które decydują, co widzą Polacy, Rumuni, Francuzi i Niemcy, zanim wejdą do kabiny wyborczej.

Nie jesteśmy suwerennym państwem, jeśli infrastruktura naszej debaty publicznej należy do korporacji podległych prawu innego państwa — i odpowiadających na jego nastroje polityczne. Europa nie jest suwerenna, jeśli rynek mediów cyfrowych, reklam i narzędzi AI kontrolują firmy zarejestrowane w Dolinie Krzemowej.

Widać to najlepiej wtedy, gdy mechanizm zadziała. W czerwcu 2026 Departament Handlu USA nałożył kontrolę eksportową na dwa modele Anthropic, a firma musiała odciąć od nich dostęp każdemu obcokrajowcowi — również własnym pracownikom spoza Stanów. Kontrolę zdjęto po osiemnastu dniach. Ale przez te osiemnaście dni dostęp do narzędzia, z którego korzystał cały świat, zależał od decyzji jednego rządu.

Digital Services Act i *Digital Markets Act* to kroki we właściwym kierunku. RODO było pionierskie. Ale regulacje zawsze gonią technologię i zawsze zostają kilka kroków z tyłu. Ponadto musimy wciąż czuwać, aby biurokraci nie wprowadzali rozwiązań ingerujących w naszą prywatność i swobody. Tymczasem algorytm nie czeka na regulatora.

...

Teraz AI.

AI jest w marketingu od lat, od kiedy kampanie reklamowe zaczęły same optymalizować stawki, od kiedy systemy rekomendacji na platformach zaczęły przewidywać, co klikniesz, zanim zdążysz to pomyśleć. Ale generatywna AI (w tym LLM) — ta, która pisze, rysuje, koduje, rozmawia — zmieniła skalę i tempo wszystkiego, co cyfrowe.

Widzę to od kuchni. Automatyzacja rutynowych procesów. Generowanie treści reklamowych. Analiza danych. Tworzenie stron internetowych,

interfejsów, aplikacji. AI nie zastąpi mojej pracy — tej jej części, która polega na intuicji, budowaniu relacji, byciu czasem leniwym (wtedy wymyśla się najlepsze automatyzacje). To są umiejętności zakorzenione w ciele, w kontekście, w historii.

Praca powtarzalna, sekwencyjna, oparta na przetwarzaniu znanych wzorców — tak, jest zagrożona. Wprowadzanie danych, obsługa klienta, proofreading, tłumaczenia tekstów, analiza dokumentów prawnych, programowanie. W tych kategoriach zmiany są widoczne już teraz — bezrobocie wśród dwudziestokilkulatków w zawodach technologicznych wzrosło o prawie 3 punkty procentowe w pierwszej połowie 2025 roku.

Praca oparta na relacji, kontekście, zaufaniu, rozumieniu niuansów — na razie nie. Jeszcze nie.

Z fascynacją patrzę na kolejne zjawiska społeczne wywołane rewolucją AI.

Przykład? *Vibe coding*. Podejście, w którym człowiek opisuje, czego chce w naturalnym języku, AI generuje kod w języku programowania, człowiek klika „uruchom” i liczy, że działa. Nie czyta kodu. Nie rozumie, co wygenerowano. Nie weryfikuje. „Vibe”, flow, szybko, do przodu. Działające aplikacje z ukrytymi błędami, których autor nie widzi, bo nie rozumie kodu, który zaakceptował.

Najcenniejszy na rynku pracy nie będzie ten, kto umie obsługiwać AI, lecz ten, kto rozumie to, co AI produkuje — i wie, kiedy mu nie ufać.

...

Jest z AI jeszcze jeden problem. Taki, którego w raportach biznesowych nie widać w pierwszym akapicie. Który dla mnie — człowieka, który śledzi raporty IPCC od 2018 roku — jest problemem egzystencjalnym.

AI żre zasoby Ziemi (przypomnę: naszej planety, mamy tylko jedną).

Żeby uruchomić duży model językowy trzeba go wytrenować na miliardach parametrów. Żeby odpowiadał na miliardy zapytań dziennie — potrzebujesz centrów danych. Ogromnych budynków pełnych serwerów, które emitują hałas, wymagają przestrzeni, produkują ciepło. To ciepło trzeba chłodzić — wodą i energią.

Samo szkolenie modelu GPT-3 pochłonęło bezpośrednio 700 tysięcy litrów wody pitnej w centrach danych Microsoftu. Jedno szkolenie jednego modelu. Globalny pobór prądu przez centra danych wyniósł w 2024 roku około 415 terawatogodzin — gdyby centra danych były krajem, plasowałyby się między Arabią Saudyjską a Francją. Do 2030 roku może się to podwoić. W USA udział centrów danych w krajowym zużyciu prądu może wzrosnąć trzy razy w sześć lat. Ślad węglowy samych systemów AI może wynieść w 2025 roku między 32 a 80 milionów ton CO₂ — tyle co Nowy Jork.

Dwie trzecie centrów danych wybudowanych od 2022 roku zlokalizowano w regionach zagrożonych stresem wodnym. Tam, gdzie wody i tak jest za mało. I gdzie będzie jej jeszcze mniej wraz z pogłębianiem się kryzysu klimatycznego.

Ktoś to wybrał. Ktoś to zatwierdził. Ktoś podpisał.

Google, Meta i Amazon ogłosiły plany potrojenia mocy jądrowych do 2050 roku. Brzmi poważnie. Nowe elektrownie jądrowe wchodzi do sieci po dekadzie od decyzji o budowie. Tymczasem AI wchodzi teraz. Louisiana zatwierdziła już budowę dziesięciu (na razie) nowych elektrowni gazowych, żeby zasilić centrum danych Meta. Gaz, nie atom. Nie 2050. Teraz.

Rewolucja AI podbija też ceny surowców i komponentów technologicznych — od pamięci po karty graficzne. Klasyczny efekt zewnętrzny: ktoś czerpie zyski, ktoś inny ponosi koszty.

Publikując ten tekst, wykorzystałem AI do stworzenia strony, która umożliwiła bezpłatny dostęp do treści. AI pomogło mi napisać kod, którego napisanie zajęłoby mi miesiąc. *Jestem skazany na używanie narzędzi mojego wroga, żeby go pokonać.*

...

W modelach AI już zaczęły pojawiać się reklamy. To typowa ścieżka platform internetowych: najpierw narzędzie jest tanie i zaskakująco dobre, bo trzeba przyciągnąć użytkowników. Potem zaczyna zarabiać.

Dalszy ciąg da się przewidzieć. Jakość przestaje rosnąć, bo nie musi. Firmy w modelu rynkowym muszą wykazać „wzrost” z kwartału na kwartał, więc

monetyzacja skalowana jest w górę — reklam jest coraz więcej, są coraz dłuższe i trudno się ich pozbyć. YouTube jest tego najlepszym przykładem.

Firmy AI dziś na siebie nie zarabiają, stąd mowa o „bańce”. „Inwestycje” w centra danych to obietnice dla inwestorów. Reklam będzie coraz więcej, tokeny będą coraz droższe. A firmy, które wpięły AI w swoje procesy, nie cofną się łatwo — przebudowały wokół niej pracę całych zespołów. Wyjście kosztuje wtedy więcej niż pozostanie i płacenie coraz więcej.

Mechanizm jest znany. Cory Doctorow nazwał go *enshittification* — *gównowacenie*. Opisuje trzy fazy życia platformy. Najpierw daje ona wartość użytkownikom, żeby ich przyciągnąć. Potem eksploatuje użytkowników, żeby przyciągnąć biznes. Potem eksploatuje wszystkich, żeby maksymalizować własne zyski.

Media informacyjne przechodzą przez to samo, tylko wolniej i dłużej. Media muszą wywoływać emocje, żeby przetrwać — to nie jest nowość, w czasach prasy drukowanej robiła to okładka albo pierwsza strona gazety. Nowość jest inna: dziś ta okładka jest personalizowana pod każdego czytelnika z osobna, w samym tytule — clickbaitowy nagłówek, pytanie zadane tendencyjnie tylko po to, żeby wywołać emocję i kliknięcie. A kliknięcie to nie tylko przeczytany artykuł. To dane do remarketingu i kilkanaście wyświetlonych po drodze reklam.

Chatboty LLM są w drugiej fazie *gównowacenia* — obsługują użytkowników coraz gorzej, a biznes coraz lepiej. AI przyspiesza jednak trzecią fazę *enshittification* całego internetu: modele językowe generują masowo treści — artykuły, posty, komentarze, recenzje. Część jest użyteczna. Większość jest przeciętna. Znaczna część to bezwartościowy wypełniacz zaprojektowany tylko po to, żeby istnieć w wyszukiwarce, zbierać kliki, generować przychody reklamowe bez wartości dla czytelnika. Coraz większa część internetu nie jest już pisana przez ludzi.

...

Deepfake nie jest już eksperymentem technologicznym. Jest narzędziem codziennego użytku. Widziałem na Facebooku treści z wizerunkami znanych polityków — rzekomo ogłaszających własną śmierć albo polecających produkty inwestycyjne. Fałszywe, wygenerowane, zamieszczone przez

kogoś, kto chciał wyłudzić dane albo pieniądze. Algorytm je serwował — bo generowały zaangażowanie i przychody. Meta Ads nie usuwała, choć reklamy łamały zasady i wprowadzały w błąd — bo generowały zaangażowanie i przychody. Strach i szok generują zaangażowanie — to jest logika platformy cyfrowej.

Po ataku na Iran w 2026 roku internet zalały nagrania wideo z bombardowań — znaczna część wygenerowana przez AI. Trudno było odróżnić dokumentację od propagandy zwycięstwa, którego nie było. Rosja stosowała deepfaki w wojnie z Ukrainą od pierwszych dni — w 2022 roku pojawił się fałszywy film z Zełenskim nawołującym do kapitulacji. Rok później spreparowane nagranie głosu burmistrza Londynu krążyło po platformach, zanim ktokolwiek zdążył je obalić. Fałszywe treści docierają do 1500 osób sześć razy szybciej niż prawdziwe — to dane z badań opublikowanych w „Science”. Kłamstwo jest bardziej angażujące niż prawda.

Dziś siedząc przy własnym komputerze mogę w kilkadziesiąt minut wygenerować nagranie wideo kogokolwiek, mówiącego swoim głosem o czymkolwiek zechcę, w jakości której nie odróżnisz od prawdziwej. To jest technologia dostępna już teraz, z niskim progiem wejścia.

Jak odróżnić w tych warunkach kłamstwo od prawdy?

Świat, w którym każde nagranie może być fałszywe, to nie jest świat, w którym kłamstwo wygrywa z prawdą. To jest świat, w którym pojęcie dowodu przestaje funkcjonować. Gdzie nie chodzi już o to, czy coś jest prawdziwe — ale o to, czy pasuje do narracji, którą już się nosi w głowie.

...

Ja nie zarabiam na politycznych postach. Meta zarabia na każdym z nich. Algorytm niesie mój gniew na nierówności — i niesie obok reklamę suplementu diety. Platforma nie odróżnia wartości treści od jej zdolności do generowania zaangażowania. I ta obojętność jest ideologiczna — bo faworyzuje treści, które wzbudzają emocje ponad te wymagające myślenia.

Gniew działa lepiej niż analiza. Strach działa lepiej niż nadzieja. Podział działa lepiej niż współpraca. Nie dlatego, że platforma jest zła. Dlatego, że

platforma jest optymalizowana. A optymalizacja pod zaangażowanie produkuje określone zachowania — i określoną politykę.

Nikt nie buduje odcinka reality show wokół zgodnej rozmowy. Producent nie ma poglądu na to, kto z uczestników ma rację. Ogląda dziesiątki godzin nagrań i szuka trzech minut, w których dzieje się drama. Nie robi tego dlatego, że jest złym człowiekiem, lecz dlatego, że te trzy minuty zatrzymają widza do przerwy reklamowej.

Algorytm robi to samo. Materiał produkujemy my, za darmo, a on tylko wybiera, które trzy minuty ci pokazać — te, po których zostaniesz dłużej.

Robiłem memy o demokratycznym socjalizmie na platformie zarządzanej przez miliardera. Wrzucam to za darmo. Meta zarabia przy tym na reklamach. System, który chcę zmienić — finansuję własną pracą.

To nie jest paradoks, który odkryłem, oglądając *Snowpiercera*. To jest paradoks, który żyję.

...

Ale w paradoksie jest coś, co lubię najbardziej: ludzie.

Na swojej drodze zawodowej poznałem mentorów i mentorki, które na zawsze ukształtowały mój sposób myślenia o pracy, o relacjach, o tym, czego chcieć i jak do tego dążyć. Poznałem koleżanki i kolegów, z którymi spędziłem świetny czas. Śmiech i rozmowy bez związku z KPI-ami — te zostają na dłużej.

To nie jest oczywiste i nie jest przypadek. W mojej agencji widełki wynagrodzeń dla każdego stanowiska są jawne — nikt nie negocjuje w ciemno. Ścieżka rozwoju nie jest narzucona odgórnie, tylko spisana wspólnie, budowana na tym, w czym jestem dobry, nie na cudzym wzorcu kariery. Mamy zgrany zespół.

Koleżanka z pracy — z naprawdę zabójczym poczuciem humoru — zapytała mnie kiedyś: „*Ty wiesz, że jesteś neuroatypowy?*”

Nie wiedziałem, co ma na myśli. Opowiedziała mi o ADHD.

Potem złapał mnie algorytm i opowiedział mi o ADHD rolkami na Instagramie. Sceptycyzm kazał mi wątpić w tę opowieść — wiem, jak łatwo wmówić sobie szkodliwą samodiagnozę, kiedy platforma serwuje ci objawy skrojone pod twoje zachowanie. Poszedłem więc do mojego terapeuty — zweryfikować, nie uwierzyć na słowo. Powiedział, że to możliwe. Zrobiliśmy test. Mam ADHD.

I choć zawsze czułem, że odstaję, to nigdy nie dopuszczałem myśli, że moja odmienność może wynikać ze specyfiki działania mózgu. To wzbudza lęk: co jeśli jestem jaki jestem nie dlatego, że mam rację, tylko dlatego, że tak mam zbudowaną głowę? Śmieszne pytanie — takie moje myśli znikąd. Strach nie pyta o logikę.

...

Diagnoza wyjaśnia wzorzec intensywnych fascynacji, które zaczynają się gwałtownie i kończą bez ostrzeżenia. Wyjaśnia trudność ze skończeniem projektów, które wydawały mi się ważne, ale z jakiegoś powodu przestały. Wyjaśnia mechanizm — nie usprawiedliwia efektów. Projekty i ludzie, którzy zostali po drodze, zostali po drodze niezależnie od tego, czy mam na to nazwę.

Tę książkę piszę w ramach jednej z wielu zajawek.

Osoba z zabójczym poczuciem humoru zadaje pytanie → algorytm podsuwa rolki → terapeuta potwierdza diagnozę → diagnoza zmienia perspektywę → zmieniona perspektywa daje mi odwagę, żeby pisać.

Platforma, algorytm, pętla dopaminowa — dostarczyły mi wiedzę o sobie. Nie dlatego, że ktoś to zaprojektował. Dlatego, że kliknąłem w odpowiednią chwilę, po odpowiednim pytaniu zadany przez właściwą osobę.

Mentorki i mentorzy z agencji. Towarzyszki i Towarzysze z PPS. Koleżanki i koledzy ze szkoły, studiów i filmówki. Wszystkie osoby z przeróżnych organizacji aktywistycznych, w które się angażowałem. Różne systemy, różne żargony, różne zasady gry — a jednak zawsze ten sam wzorzec: gdziekolwiek wchodziłem głębiej, w końcu znajdowałem tam kogoś, nie coś. Znajdowałem drugiego człowieka, wpłatanego w te same paradoksy systemu, co ja.

Ten wzorzec zaczął się dużo wcześniej niż jakakolwiek praca. Zaczął się w internecie — długo zanim ktokolwiek myślał o „social media” i „algorytmach”.

SIEĆ

„W nocy z piątku na sobotę, od północy do szóstej. Rytm. Puls. Dźwięk. Bez snu, bez zmęczenia. *Nocny Trans*.” — Adam Kołaciński, intro programu *Nocny Trans* (1998-2008)

Czasem w środku nocy myślę o starej teorii martwego internetu.

Krąży od lat w niszowych zakątkach sieci, w miejscach, które same w sobie są jakimś dowodem na to, że stary internet jeszcze oddycha: długie wątki na forach, zapomniane blogi, komentarze pisane przez kogoś, kto nie oczekuje odpowiedzi.

Teoria mówi, że większość ruchu w internecie nie pochodzi już od ludzi. Że za sprawą algorytmów, botów, zautomatyzowanej treści i generowanych przez AI komentarzy — prawdziwych głosów ludzkich jest coraz mniej. Że internet stał się teatrem, w którym publiczność jest sztuczna, a aktorzy grają dla pustej sali.

Kiedy ta teoria krążyła po niszach, można ją było zbywać jako fantazję. Dziś już nie bardzo. Około połowy ruchu w sieci generują automaty — boty, skrypty, AI.

Internet mojego dzieciństwa i wczesnej młodości był rozproszony, chaotyczny, brudny i nierówny — ale *żywy i autentyczny*. Każda strona, którą odkrywałem surfując w nocy, należała do kogoś. Ktoś ją zrobił, ktoś ją aktualizował, ktoś zostawił tam kawałek siebie. Były to małe terytoria, zaznaczane pieczołowicie przez zapaleńców — entuzjastów kultury i nauki, tłumaczy seriali, zajawkowiczów. Nikt nie liczył ROAS. Było coś lepszego: licznik wizyt i księga gości.

Potem platformy (anty)społecznościowe znalazły sposób, żeby to wszystko wchłonąć. Scentralizować. Zmonetyzować. I powoli — nie od razu, tak się nigdy nie dzieje od razu — to co było żywe, stało się infrastrukturą dla czegoś innego. Dla reklam. Dla danych. Dla algorytmów, które decydują, co zobaczysz, zanim jeszcze zdążysz zapytać. Czuję, że żyję w trzeciej fazie *gównowacenia* internetu i właściwie wszystkiego, co nas otacza. To boli.

...

Zaczęło się w radiu.

Przez długi czas Radio Łódź było przestrzenią, wokół której organizowało się pewne życie. Kultowe audycje, goście, twórcy, artyści. I wśród tych audycji była jedna, która dla mnie miała szczególne znaczenie — *Nocny Trans*. Program szedł w nocy z piątku na sobotę, od północy do szóstej, z muzyką drum'n'bass. Piętro wyżej nad pokojem ojca DJ-e grali na żywo mocne techno, które niosło się w głośnikach. Dziś — *teraz* — techno dopinguje mnie w przelewaniu moich myśli na tekst.

W domu nie było jeszcze ani komputera, ani internetu. Dla większości polskich rodzin internet był rzeczą, którą się odwiedza w kafejce internetowej. Ja go odwiedzałem w nocy, przy muzyce techno, gdy ojciec piętro wyżej prowadził swoją audycję.

To był internet w jego prymitywnej postaci. Strony ładowały się długo. Grafiki pojawiały pasek po pasku, od góry do dołu. Na klipy wideo trzeba było poczekać — chwilę się ładowały. Były gify, były społeczności, były zapowiedzi filmów pobierane w rozdzielczości, której dziś nie zaakceptowałby telefon. Przeglądałem Allegro zanim Allegro stało się czymkolwiek ważnym. Czytałem o *pokemonach*, o *Star Wars*, o *Dragon Ball*. Zachodziłem na strony, które ktoś skleił z miłości do czegoś — i zostawiał dla nieznajomych.

Po każdej takiej nocy ojciec wypalał mi płytę. Albo dyskietkę — to co się zmieściło. Pobrane obrazki, gif-y, teksty, mp3. Potem w szkole wymienialiśmy się tymi dyskietkami z kolegami — tak jak dziś przesyła się linki, ale wolniej, namacalniej, z jakimś fizycznym ciężarem, który sprawiał, że wydawało się to ważniejsze. Nasze pierwsze memy. Nasze pierwsze *udostępnianie treści*. Zanim ktokolwiek używał tych słów w tym znaczeniu.

Drum'n'bass w tle. Ja przy ekranie, w środku nocy, z poczuciem, że odkrywam coś niezmiernego. Rytm. Puls. Dźwięk. Ocean możliwości.

...

Pierwsza społeczność. Pierwsze forum. Pierwszy nick.

Miałem może dziesięć lat, kiedy odkryłem, że Pokemony — zjawisko z każdego szkolnego korytarza tamtych lat — mają swoje życie również w internecie. Że jest środowisko, miejsce, gdzie można być fanem razem z kimś, kogo nigdy się nie spotka. Zarejestrowałem się na forum, wybrałem nick: PoKeFAN. Prosto, bez owijania w bawełnę. Jeszcze nie wiedziałem, że nicki są tożsamościami, do których się wraca — i że buduje się na nich reputację.

...

Potem był *Stargate SG-1*.

Ten serial oglądała wspólnie cała moja rodzina — w niedzielę, kiedy telewizja jeszcze była rytuałem, a nie tłem. Była wtedy łącznikiem kulturowym: wszyscy oglądali to samo w tym samym czasie i można było o tym pogadać w szkole.

Powtórki *Stargate* w TVN szybko przestały nam wystarczać, więc ojciec przynosił z pracy nagrane na płytach CD odcinki pobrane z FTP. Piractwo było wtedy w Polsce czymś zyskującym popularność — nie z braku szacunku dla twórców, ale z braku dostępu. Oficjalne kanały dystrybucji kultury były wąskie, drogie, spóźnione o sezony. Ludzie wymieniali się płytami, nagrywali z telewizji, kopiowali sobie nawzajem. I wokół tego wyrosło całe podziemie — amatorskie napisy do seriali i filmów, robione przez fanów dla fanów, z których wielu zostało później tłumaczami zawodowymi. To trwało aż do momentu, gdy w Polsce pojawiły się pierwsze platformy streamingowe i dostęp do kultury przestał wymagać zaradności. To był przemysł kulturowy bez przemysłu — czysta praca z miłości do materiału.

Rejestrując się na forum fanów *Stargate* wiedziałem już, że nick to coś poważniejszego. Wybrałem imię z serialu. Fałszywy bóg, jeden z głównych antagonistów. Militarysta, totalitarysta, ktoś, kto przybiera boską tożsamość, żeby kontrolować innych. Totalnie paradoksalne imię jak na przyszłego aktywistę.

Ale musiałem zmodyfikować nick o dodatkowy znak — czysta nazwa była już zajęta. Z tym znakiem zostałem do dziś. To pierwszy mój dowód, że w internecie zawsze ktoś był przed tobą.

Na forach skupionych wokół seriali, gier, projektów rozmawiało się właściwie o wszystkim. O polityce, o muzyce, o tym, co było w szkole, o tym, czego nie można było powiedzieć w realu. Forum było przestrzenią, gdzie anonimowość dawała dziwną wolność. Wolność bycia poważnie traktowanym niezależnie od wieku. Wolność mówienia rzeczy, które gdzieś indziej brzmiałyby dziwnie.

Hail PHP by Przemo. *Hail Przemo*. Kimkolwiek jesteś, stary.

...

A *Tibia* weszła przez przypadek, gdy już byłem w gimnazjum z dostępem do internetu w domu.

Grałem w demo *Unreal Tournament 2004* — strzelankę, kilka map na płycie dołączonej do mojego ulubionego wtedy magazynu CD-Action. Na koniec jednej z sesji na czacie odezwał się ktoś po polsku. Odpisałem. Wymieniliśmy się numerami Gadu-Gadu — komunikatora, który dla całego polskiego pokolenia był internetem w jego najbardziej intymnej formie: małe okienko, mała ikonka, obecność lub nieobecność.

Nowy kolega powiedział mi o grze *Tibia*. Darmowe MMORPG, prymitywna grafika, setki tysięcy graczy na całym świecie. Wciągnął mnie w to — i przez długi czas *Tibia* była dla mnie środowiskiem. To było *drugie życie, inny świat*. Ze swoją geografią, ze swoją historią, z miejscami do których się przychodziło, z konfliktami, które trwały miesiącami, z sojuszami, które zawiązywały się i pękały. Wszystko organicznie — prowadzone przez społeczność graczy.

Wokół gry były społeczności, w tym forum. Byłem na nim aktywny w dyskusjach, ale robiłem też coś, z czego jestem dumny do dziś: komiks osadzony w świecie gry. Sklejałem sceny, pisałem dialogi, publikowałem kolejne odcinki. Był popularny. Ludzie czekali na kolejne części. Dostawałem komentarze, pytania, ponaglenia. Na forum nosiłem imię mojego paladyna z gry, wymyślone przy pomocy rodziców, którzy zaproponowali coś impulsywnie. Ja dodałem literkę — i dwa impulsy stały się częścią mojej tożsamości.

Ale bardziej niż ten komiks na forum to pamiętam kolesia, który mi o Tibii powiedział. W grze i na GG rozmawialiśmy długimi wieczorami — o grze, o życiu, o wszystkim. Byliśmy nastolatkami, którzy przez przypadek trafili na siebie w wirtualnym korytarzu. Pewnej nocy napisał do mnie w strachu. Jego pijany ojciec dobijał się do zabarykadowanego pokoju. On pisał do mnie. Bał się o siebie i o swoją siostrę.

To było realne. Człowiek po drugiej stronie ekranu w realnym niebezpieczeństwie — i ja kilkaset kilometrów dalej, z poczuciem całkowitej bezsilności. Pisałem, że jest *okay*, że dasz radę, że jesteś bezpieczny — nie wiedząc, czy to prawda. Internet był połączeniem — ale był też granicą, której nie dało się przekroczyć. Tamtej nocy poczułem tę granicę fizycznie.

Przeszło. Był *okay*. Ale tamta noc została.

Przez internet poznałem wielu ludzi — i przez internet dotarłem do ich życia w sposób, który w normalnych warunkach społecznych nie byłby możliwy. Sieć skracala dystans, usuwała konteksty, w których normalnie nie rozmawiałoby się szczerze. Przy ekranie ludzie pisali rzeczy, których nie powiedzieliby w twarz. Nie wiem, czy to zaleta, czy wada. Myślę, że jedno i drugie.

...

Dorastałem między blokami. Cały przełom tysiącleci: rowery, rolki, zabawy w bazy, kolana starte o asfalt, bieganie za piłką do późna. Byłem dzieckiem offline — i to znaczące słowo, bo nie każde dziecko tamtego czasu nim było. Były już wtedy takie, które wołały zostać w domu. Ja wołałem podwórko.

W gry online wciągnąłem się dopiero w gimnazjum — i był ku temu powód. Przeprowadzka. Nowa szkoła. I utrata wszystkich relacji, które do tej pory budowałem przez wspólną fizyczną przestrzeń. Koleżanki i koledzy z podstawówki rozproszyli się — nie przez kłótnię ani zdradę, po prostu przez zmianę adresów. Tak to działa w tym wieku: przestrzeń jest wszystkim.

Nowa szkoła była obca. Internet był dostępny. Wycofałem się — nie z lenistwa, nie z niechęci do świata — z potrzeby kontaktu z ludźmi. Po prostu szukałem tego kontaktu. Przestrzeni, gdzie można być. Gdzie można mówić. Gdzie ktoś słucha.

Coraz więcej czasu zacząłem więc spędzać przed komputerem. Komunikacja tekstowa z Gadu-Gadu szybko ewoluowała w rozmowy głosowe na Skype i TeamSpeak.

TeamSpeak to była rewolucja komunikacji online. Prototyp Discorda. Program ściągało się za darmo, instalowało na komputerze i rozmawiało z innymi graczami w trakcie rozgrywki. Tylko głosy — przez mikrofon, często z szumem w tle, czasem z rodziną krzyczącą coś z drugiego pokoju.

Spędziłem na TeamSpeaku tysiące godzin — wieczory, noce, weekendy. Planowałem strategie w grach z ludźmi, których nigdy nie widziałem. Śmiałem się z żartów, których nie pamiętam. Słyszałem głosy kolegów z Cypru, z Francji, z Włoch, z UK, ze Słowenii. Głosy, które kojarzyłem z konkretnym stylem grania, konkretnym poczuciem humoru, konkretnym kontekstem. Wspólnota bez twarzy — ale z głosem. Głos jest bardziej intymny niż tekst. Oddaje zmęczenie, rozczarowanie, radość. Śmiech przez mikrofon to śmiech prawdziwy.

The Old Republic — MMORPG, w które grałem przez kilka lat studiów — był dla mnie tym, czym *Tibia* była wcześniej: nie tyle grą, co miejscem. Byłem w gildii, a na naszym serwerze ludzie chcieli ze mną współpracować, bo pracowałem w niszy — byłem jednym z niewielu tanków skupionych na PvP. Byliśmy sobie obcy, a jednocześnie nie całkiem. Chwilowa wspólnota — ale niektóre chwile zamieniają się w lata.

...

Kolejnym takim miejscem był Last.fm.

Serwis Last.fm śledzi, czego słuchasz, i łączy z innymi na podstawie muzyki. Algorytm rekomendacji podpowiada zespoły i innych użytkowników. Algorytm prosty, przejrzysty, bez poczucia, że ktoś cię śledzi. Prosta idea: jeśli słuchacie tego samego, to może chcecie się poznać.

Poznałem tam swoją pierwszą dziewczynę. Zaczęło się od muzyki — te same gatunki, ci sami wykonawcy. Potem okazało się, że łączy nas więcej: pasje, fascynacje, sposób myślenia o świecie. Połączył nas też — choć dowiedzieliśmy się o tym znacznie później, po diagnozach postawionych

każdemu z osobna — ADHD. Ta sama chaotyczna intensywność. Ta sama potrzeba głębokiego wejścia w każdy temat, który przykuje uwagę.

Jeździliśmy do siebie co weekend, Łódź-Warszawa i z powrotem. Związek zbudowany przez internet, podtrzymywany przez pociągi i Skype — z opóźnieniem w audio i zamrożonym obrazem, kiedy łącze nie dawało rady.

Internet nie jest gorszym medium budowania relacji niż offline. Jest innym — i wymaga precyzji: kiedy nie masz mowy ciała ani tonu głosu, musisz pisać dokładniej. Do dziś mam z tym dużą trudność.

Na Last.fm mam wciąż konto, choć sama platforma to cmentarzysko porzuconych profili. Wciąż *skrobluję* muzykę (zapisuję dane w systemie Last.fm). Mój nick tam to nick, który nadałem kilka lat wcześniej swojemu paladynowi w Tibii. Wzorce. Historia kołem się toczy.

...

Bastion. Polskie forum fanów *Star Wars*.

Tu spędziłem chyba najwięcej czasu ze wszystkich forów, na jakich byłem. Nie pamiętam już wszystkich wątków ani wszystkich nicków — ale pamiętam atmosferę. Ta społeczność traktowała *Star Wars* poważnie: nie tylko jako rozrywkę, ale jako mit, jako narrację, przez którą można rozmawiać o rzeczach poważniejszych. Dobro i zło. Władza. Opór. Poświęcenie. A dyskusje o Imperium i Rebelii były w swej istocie dyskusjami politycznymi.

W 2008 roku kilkoro z nas — poznanych przez internet, przez Bastion — postanowiło spotkać się w realu. Premiera *Wojen klonów*. Łódź. Zgadujemy się przez forum, spotykamy pod kinem. Obcy do tej pory przez ekran — teraz stojący obok siebie na chodniku.

Zostaliśmy paczką znajomych. Spotykaliśmy się regularnie. Chodziliśmy razem na kolejne filmy, graliśmy w figurkowe bitewniaki i paintballa. Internet był narzędziem — ale relacja stała się czymś innym. Czymś, co miało ciężar, miało twarze i logo. Łódzki fanklub fanów *Star Wars* założony przy piwie i entuzjazmie, z tego, co widzę w sieci — istnieje do dziś. Mnie w nim już nie ma od lat. Ale przestrzeń do spotkań pozostała. To fajny wpływ.

Prowadziłem też mały projekt w ramach internetowego eksperymentu, gdzie społeczność budowała własny, fikcyjny system polityczny — z wyborami, partiami, kampaniami marketingowymi. Prowadziłem tam poczytną gazetę. Miałem wpływ na ten mikroświat, długo zanim miałem jakikolwiek wpływ na prawdziwy.

...

Oprócz gier i forów był też internet-encyklopedia.

Od dziecka kochałem czytać encyklopedie — najpierw papierowe, potem kilka w formie interaktywnej książki zapisanej na płycie CD. Gdy internet stał się codziennością, zaczytywałem się obsesyjnie w Wikipedii. Pamiętam moment, kiedy późną nocą, skacząc po hasłach, trafiłem na „lewicę”. Próbowałem poukładać sobie to, co słyszałem w wiadomościach, co rozmawiało się przy kolacji, co krzyczało z billboardów przed wyborami. Wikipedia dała mi pierwszą siatkę — uproszczoną, płaską, ale istniejącą. Pierwszy język dla podziałów, które wcześniej tylko czułem.

Potem czytałem dalej i coraz szerzej — o teoriach politycznych, o ruchach pracowniczych, o klimacie, o ekonomii, która nie udawała, że rynek rozwiąże wszystko. Cała moja późniejsza wędrówka po „-izmach” zaczęła się od nocnego czytania w sieci.

Przyszła też czas na forum o zjawiskach paranormalnych i UFO. Nie wstydzę się tego — to był kolejny etap w tym samym ciągłym ruchu: chciałem zrozumieć świat, a to, co nieznane, było najbardziej kuszące. W takich środowiskach kwitły teorie spiskowe w swojej naturalnej formie — nie jako złośliwy sabotaż polityczny, ale jako ludzka potrzeba narracji, która wyjaśnia to, co wydaje się niewyjaśnialne. Zobaczyłem, jak to działa od środka. Jak łatwo w to wejść. Jak logika jednego kroku prowadzi do następnego. Jak wspólnota tych, którzy „wiedzą więcej”, daje poczucie przynależności, wyjątkowości, bezpieczeństwa.

Tę naukę — o tym, jak działają teorie spiskowe, jak propaganda wchodzi przez drzwi ciekawości — zabrałem ze sobą. Przydała się mnie i przyda się nam w tej intelektualnej podróży, na którą cię zabrałem.

...

Robiłem też YouTube.

Wczesny YouTube — zanim był biznesem, zanim był infrastrukturą reklam. Kiedy był miejscem, gdzie ludzie wrzucali filmy dlatego, że chcieli je wrzucić. Bez monetyzacji i bez strategii contentowej. Wrzucało się dlatego, że się chciało — i ktoś to oglądał dlatego, że chciał.

Miałem zajawkę na *Star Wars* i zajawkę na montaż. I kiedy dwie fascynacje trafiają na siebie w odpowiednim momencie, coś z tego wychodzi. Znalazłem program do edycji wideo. Nauczyłem się sam — przez próby, przez błędy, przez oglądanie, co inni robią, i próbowanie lepiej. Zacząłem montować klipy z materiałów z filmów i seriali *Star Wars* z epicką muzyką w tle. Odpowiednie tempo cięć, odpowiednie narastanie muzyki w stosunku do obrazu, odpowiednie momenty wyciszenia.

Wrzuciłem pierwszy film, a potem kolejny. I zaczęły się wyświetlenia. Miliony. Siedziałem sam przy biurku, robiąc coś głównie dla siebie — i okazało się, że to coś jest dla milionów nieznajomych.

Dzięki sztuce czułem, że moja wrażliwość na obraz i dźwięk, moje wyczucie rytmu, moje wyobrażenie o pięknie kina — jest nie tylko moje, lecz wspólne.

To było też potwierdzenie, że istnieje jakaś przestrzeń między mną a resztą świata, gdzie możemy się spotkać. To, co czuję, nie jest moją prywatną halucynacją — jest komunikowalne. Wrażliwość — konkretna, estetyczna, moja własna — ma widzów.

To było pierwsze spotkanie z zasięgiem, długo przed Instagramem.

Potem przyszedł ban. Wiadomość od YouTube — naruszenie praw autorskich. Sony Music Entertainment. Jeden z kawałków muzycznych w jednym z klipów. Konto zawieszone. Materiały niedostępne. Miliony wyświetleń — i koniec.

System, który mnie wyrzucił, nie powiedział: dziękujemy za pracę. System, który mnie wyrzucił, powiedział: złamałeś zasady. Zasady, które chroniły coś, co nie było moje — i za co ja, tworząc bezpłatną promocję tych treści dla milionów widzów, nie dostałem nic.

Kilka lat później YouTube wprowadził monetyzację dla twórców. Wkrótce potem — powstaje Content ID, czyli system, który identyfikuje muzykę w klipach i zamiast banować, kieruje przychody z reklam do właścicieli praw. Zamiast mnie wyrzucać, teraz by na mnie zarabiał. Ja nadal bym nie dostał nic — ale przynajmniej mógłbym zostać i tworzyć.

System najpierw cię banuje — bo jesteś użyteczny w sposób, którego jeszcze nie opanował. Potem cię monetyzuje — bo nauczył się, jak na tobie zarabiać. Twoja twórczość, twój czas, twoja wrażliwość — to są surowce. Nie jesteś twórcą. Jesteś dostawcą. Różnica nie zawsze jest widoczna od środka.

Zniechęciłem się do montażu. Nie całkowicie i nie na zawsze — bo umiejętności zostały. Montowałem potem etiudy w szkole filmowej. Montowałem pierwsze wideo-memy na Instagramie.

Ale YouTube był moim miejscem tylko chwilowo. System to unaoczniał w sposób trudny do zignorowania: jest twoje, dopóki nie jest nasze.

...

Żadne z tych miejsc nie należało do kogoś, kto chciał na nim zarobić. Fora, na których siedziałem latami, tworzyła za darmo sama społeczność, z pasji do tematów. Napisy do seriali robili ludzie, którzy nie wzięli za to złotówki. Łódzki fanklub powstał przy piwie i istnieje do dziś, choć nikt nigdy nie policzył jego zasięgu. Mój komiks czytały setki osób, a klipy wideo zobaczyły miliony. Wszystko to działało, bo nie było jeszcze produktem.

Każde środowisko, które traciłem, motywowało mnie do szukania kolejnego. Każda porzucona zajawka zostawiała po sobie lukę, którą wypełniałem czymś innym. Dyskietki z gifami wychowane do filmów YouTube, filmy YouTube do postów na Instagramie, posty na Instagramie do tej książki.

Nicki zostawały. Nie są przeszłością zamkniętą w nawiasie — są kolejną warstwą tej samej tożsamości, wciąż dostępną, wciąż aktywną gdzieś w sieci. Tożsamość budowana przez kolejne wcielenia jest spójna, działa w synergii.

Przechodząc od środowiska do środowiska miałem niewiele stałych. W gruncie rzeczy stała jest tylko moja bliska rodzina oraz moi trzej kumple —

poznani w gimnazjum przez wspólne granie, przez wieczory na TeamSpeaku. Kumple są w moim życiu najdłużej, bo ze dwie dekady, choć z chwilą przerwy i stopniowym rozjazdem w priorytetach. Ideologicznie też jesteśmy praktycznie wszędzie indziej — inne wizje świata, a jednak z nimi czuję się swobodnie. Nie muszę tłumaczyć kontekstu. Nie muszę uzasadniać, kim jestem.

Dziś trudniej nam się zgadać na granie — praca, obowiązki, inne pasje. Ale fundament przetrwał. Fundament z czegoś, czego algorytm nie monetyzuje: ze wspólnie spędzonego czasu, z TeamSpeaka o drugiej w nocy, kiedy, grając w Tibię, musieliśmy mówić szeptem, bo rodzice spalili dwie ściany dalej.

...

Kiedy dziś myślę o teorii martwego internetu — czuję coś, co jest trudne do artykułowania. To nie jest nostalgia za technologią. Technologia była niższa, wolniejsza, bardziej zawodna. To nie jest nostalgia za młodością — choć pewnie jakiś jej element tam się wkłada.

To jest żałoba za strukturą. Za modelem, w którym internet był przestrzenią, którą się *zamieszkiwało*. Fora były miejscami z historią, z moderatorami, którzy znali wszystkich, z wątkami, które ciągnęły się przez lata. Kanały YouTube były dziennikami kogoś, kto miał coś do powiedzenia — nie produktami zoptymalizowanymi pod retencję. Last.fm łączyło na podstawie smaku, nie na podstawie przewidywanego zachowania zakupowego.

Enshittification to nie tylko problem biznesowy. To problem egzystencjalny dla kogoś, kto zbudował część swojej tożsamości na przekonaniu, że internet to wspólna przestrzeń. Że twój wkład w nią — komiksy, klipy, komentarze, posty — należy do sieci, do społeczności. Nie do platformy.

Ale to, czego się nauczyłem w tamtych społecznościach — czytać systemy od środka, rozumieć, jak działa wspólnota i jak działa manipulacja, jak tworzyć coś, co ktoś chce zobaczyć, jak mówić w sposób, który dociera — to zostało. I to zabieram dalej, niezależnie od tego, na jakiej platformie ląduje moje kolejne wcielenie.

GAMING

„*Banan wszyscy.*” — anonimowy gracz *Tibia*

Banan. Wpisuję hasło automatycznie.

Nie myślę o tym. Ręka idzie do klawiatury zanim głowa zdąży wystać instrukcję. Dwadzieścia lat temu któryś z kumpli wrzucił na nasz czat filmik z gracza *Tibia*, który w środku walki PvP krzyczał do swojej drużyny instrukcje: *Banan wszyscy. Bijcie Masterczutki. Raz, dwa, trzy!* Filmik trwał może dwie minuty. Śmialiśmy się do łez.

Od tamtej pory to jest hasło do serwera. Banan.

Dziś wchodzimy na *Arc Raiders*. *Helldivers 2*. *Space Marines 2*. *PEAK*. Sprawdzamy, co wychodzi, wchodzimy w to, siedzimy na Discordzie. Na żywo widzimy się rzadko — każdy żyje swoim życiem. Ale co parę tygodni łączymy się wieczorem i gramy. I hasło do serwera wciąż jest to samo.

Żadna organizacja, żadna ideologia, żadna platforma nie dała mi tak trwałej wspólnoty jak gry. To nie znaczy, że inne wspólnoty były mniej prawdziwe — aktywizm, szkoła filmowa, Instagram — każda z tych przestrzeni dała mi relacje, które coś zmieniły. Ale ta jest najdłuższa. Ponad dwadzieścia lat. To więcej niż połowa mojego świadomego życia.

Ideologicznie z kumplami wydaje się, że nie jesteśmy zgodni. Przez lata trafiały na nasz czat rzeczy, które mnie irytowały — filmiki, opinie i narracje, które rozpoznawałem jako dezinformację opracowaną na konkretny cel. Nie zawsze się to udawało — bywały wieczory, złe dni, kiedy coś przeszło niezauważone, bo akurat pasowało do tego, co wtedy czułem.

I właśnie ta przyjaźń nauczyła mnie czegoś ważnego. Że podatność na nieprawdziwą informację nie jest kwestią inteligencji. Jest kwestią kontekstu, emocji i chwili.

To czego próbuję uczyć innych brzmi: kiedy w sieci widzisz coś, co wywołuje w tobie fizyczną, natychmiastową reakcję emocjonalną — gniew, nienawiść, obrzydzenie — zatrzymaj się. Zadać trzy pytania. Komu może zależeć na tym,

żeby tak się czuć? Czy to, co widzę, jest prawdą? Czy muszę to podawać dalej?

To podstawowa higiena informacyjna w świecie, który monetyzuje twój gniew, a nie cyniczna rada.

...

Gry były w moim domu odkąd pamiętam.

Jeden komputer, cała rodzina — *Heroes of Might and Magic III* — tura po turze, sobota po niedzieli, gorące krzesło, wymieniamy się. To było granie razem — w ciszy napięcia, gdy przeciwnik zbliżał się do zamku, ale i w głośnym komentarzu, gdy ktoś wykonał zły ruch.

Mama grała w *Diablo II* barbarzyńcą. Napakowany mężczyzna mordujący demony — moja kochana mama. Co mi to powiedziało: że gry pozwalają wejść w kogoś innego. Że awatar to nie tylko postać na ekranie — to możliwość bycia innym ciałem, inną siłą, innym głosem. Identyfikacja działa w poprzek wszystkiego, co nam wmówiono o tym, kim powinniśmy być.

Gry to obraz, dźwięk, muzyka, fabuła. Ale przede wszystkim — to jedyne medium, które pamięta twoje decyzje i cię z nich rozlicza. Książka czyta się tak samo za każdym razem — nawet jeśli ty czytasz ją za każdym razem inaczej. Film jest taki sam dla wszystkich — nawet jeśli każdy widzi w nim coś innego. Gra — jeśli pozwala na to gatunek — jest inna, bo odpowiada na to, co robisz. Jest między tobą a nią kontrakt: dajesz uwagę, ona daje sprawczość.

To dlatego gry tak mocno działają na wyobraźnię. Poczucie sprawczości jest super, nawet jeśli to iluzja.

...

Jako dziecko miałem tamagotchi. Mały plastikowy breloczek z ekranikiem, na którym żyło wirtualne zwierzątko. Trzeba było je karmić, sprzątać po nim, bawić się z nim, kłaść je spać. Jeśli zapomniałeś — umierało. Jeśli pamiętałeś — rośło, zmieniało się, stawało się twoje.

Gdy jechaliśmy na wakacje — zostawialiśmy je u babci. Z jasną instrukcją: co klikać, kiedy karmić, jak reagować na sygnał dźwiękowy. Babcia, która

nie miała pojęcia o grach, o technologii, o wirtualnych zwierzętach — pilnowała naszych tamagotchi przez dwa tygodnie. Bo dla nas to było ważne. A dla niej ważne było to, co ważne dla nas.

Tamagotchi nauczyło moje pokolenie, że opieka nad czymś wirtualnym może wywoływać prawdziwe emocje. Przywiązanie nie potrzebuje ciała, futra, oddechu. Wystarczy rytm, powtarzalność i poczucie, że coś zależy od ciebie.

Dziś gram w *Pokémon Sleep*. Aplikacja, która nagradza cię za dobry jakościowo sen. Kładasz telefon lub sparowane przez Bluetooth urządzenie obok poduszki, a rano budzisz się ze Snorlaxem, wokół którego zbierają się głodne Pokemony. Im lepszy sen, tym większa szansa na rzadkie stwory.

Pętla dopaminowa nie zamyka się już nawet na noc.

Branża gier doskonale wie, że to uczucie — opieka, przywiązanie, rutyna, nagroda za powrót — jest najcenniejszą walutą, jaką gracz może dać. Cenniejszą niż sześćdziesiąt dolarów za pudełko (coraz rzadziej zawierające płytę, częściej kod do wpisania online). Cenniejszą niż jednorazowy zakup. Cenniejszą niż recenzja.

Tą walutą jest nawyk — i słabość człowieka do mocnego dopaminowo hazardu.

...

Branża gier jest dziś warta ponad dwieście miliardów dolarów rocznie. Jest to sukces — dla akcjonariuszy. Dla ludzi, którzy tworzą gry i grają w gry, sytuacja wygląda inaczej.

Crunch — ostre nadgodziny — tak branża nazywa pracę po osiemdziesiąt, sto godzin tygodniowo, najczęściej w okresie miesiący przed premierą (deadline). Zjawisko, traktowane przez długi czas jako nieunikniony koszt tworzenia czegoś wielkiego, dziś wywołuje uzasadniony bunt. Kiedyś firmy i pracownicy często z dumą opowiadali o pracy ponad siły, jakby to był dowód zaangażowania, a nie wyzysku.

Badacze nazywają to *passion tax* — podatkiem od pasji. Wchodzisz do branży, bo gry kochasz od dziecka. I właśnie to umiłowanie sprawia, że pracodawca może od ciebie żądać więcej — bo wiesz, że za tobą stoi armia innych, którzy dadzą tyle samo za mniejsze pieniądze.

Znam to od środka lepiej, niż bym chciał. Sam kończę tę książkę w trybie, który przypomina crunch — po nocach, przez wiele godzin, na adrenalinie i pasji do tematów, które mnie palą. Wiem, że to niezdrowe. Pozwalam sobie na to nieregularnie, bo wiatr weny nie wieje codziennie — i tylko samoświadomość oraz terapia nauczyły mnie zaopiekowania się sobą: podejmowania decyzji, które są dla mnie dobre, ale niczym kosztem. Różnica między moją nocą a crunchem w studiu jest jedna: na mojej obsesji nikt nie zarabia beze mnie. I o to chodzi. Musimy nawzajem chronić siebie przed tymi, którzy chcą wykorzystać nasze obsesje do wycisku naszej pracy — dla własnego wzbogacenia. Proste.

Od lat rok do roku w branży zwalnianych jest dziesiątki tysięcy pracowników. Ubisoft — przez lata drugi co do wielkości pracodawca w branży gier na świecie — zwalnia, zamyka studia, kasuje projekty. Electronic Arts wkrótce zostanie kupione przez Arabię Saudyjską i Jareda Kushnera (związany z Donaldem Trumpem) za 55 miliardów dolarów.

Ubisoft przez lata produkował gry według formuły, którą sam wymyślił i sam doprowadził do śmierci przez powtarzanie: otwarte światy zapchane na mapce ikonkami, misje poboczne, które nie mają sensu, fabuły, które nie pamiętają, że gracz może mieć uczucia. Zamiast ryzykować artystycznie — optymalizował pod sprzedaż. Zamiast słuchać twórców — słuchał arkuszy kalkulacyjnych. I dostał to, co dostaje każda firma, która przestaje robić to, dla czego ją pokochano.

Ale rośnie siła gier niezależnych (*indie*). Odchodzący z korporacyjnych molochów artyści i artystki zakładają własne, niezależne studia i tworzą arcydzieła, takie jak *Clair Obscur: Expedition 33*, za które odpowiada kilkadziesiąt osób ze studia Sandfall Interactive, założonego przez Guillaume Broche'a — byłego pracownika Ubisoftu. Projekt zaczął się jako rozmowy na Reddicie podczas pandemii. Budżet wielokrotnie mniejszy niż

produkcji AAA. Cena — pięćdziesiąt dolarów, gdy branżowy standard pnie się ku osiemdziesięciu.

Gra sprzedała się w milionie kopii przez trzy dni. Do wiosny 2026 roku — w ośmiu milionach. Zdobyła dziewięć nagród na The Game Awards, w tym Game of the Year. Prezydent Francji Emmanuel Macron pogratulował publicznie twórcom.

System zwalnia ludzi, ludzie idą i robią coś pięknego poza systemem.

...

Popularność gamingu oraz charakterystyka części grup odbiorców sprawiły, że społeczności graczy od lat są polem polaryzacji społecznej napędzanej przez propagandę. Do historii przeszło *gamergate*. W 2024 roku — rok wyborów prezydenckich w USA — niemal każda większa premiera gry stała się polem obrzydliwej bitwy kulturowej mającej na celu odwrócenie uwagi od problemów naprawdę wpływających na życie Amerykanów.

Dragon Age: Veilguard — gra opisana jako *woke*, bo pozwala (opcjonalnie) grać *niebinarną* postacią. Gra kiepska, ale z innych powodów.

Concord od Sony — oskarżono o *woke*, bo bohaterki miały nieidealne sylwetki. Była porażką z innych powodów.

Assassin's Creed Shadows — oskarżono o *woke*, bo gramy kobietą. Nie grałem.

Star Wars Outlaws — okrzyknięta przez graczy z góry porażką, bo główna bohaterka nie spełnia *standardów piękna*. Fantastyczna gra, niesłusznie hejtowana.

W chacie między mną a moimi trzema kumplami wylądował jeden z filmików nakręcający wojnę kulturową o gry. Kolega wrzucił w gniewie, bezrefleksyjnie. Na filmie spreparowana sytuacja związana z błędami graficznymi w jednej z gier, w którą grałem, a którą masy nazwały *woke* i *porażką*. Gdy złapie cię algorytm gniewu — zaczynasz żyć w oblężonej twierdzy, gdzie „wroga” ideologia jest wszędzie, także w tym, co kochasz: rozrywce.

Nie ma w tym nic ze spontanicznego zrywu społecznego, nic o jakości gry. To zorganizowana kampania wymierzona w idee różnorodności i inkluzywności, mająca na celu budowę kapitału politycznego. Pamiętam, że już w podręcznikach od WOSu tak opisywano oparty na strachu populizm. Wojna kulturowa przeciw *DEI*, *woke*, a wcześniej przeciw *marksizmowi kulturowemu* — odwraca uwagę od *wojny klasowej*, rosnących nierówności, od konsekwencji związanej z nieograniczoną eksploatacją ograniczonych zasobów planety Ziemia.

Mamy więc sprzężenie, gdzie sedno problemu pozostaje za mgłą. A gry stają się gorsze, bo studia nie słuchają twórców — słuchają kwartalnych wyników, bo przez branżę przetoczyła się fala mechanizmów zaprojektowanych nie po to, żeby gra była lepsza — ale po to, żeby wyciągnąć z gracza więcej pieniędzy.

...

Lootboxy — płacisz prawdziwymi pieniędzmi za wirtualną skrzynkę z losową zawartością. Możesz dostać coś, co chciałeś. Możesz dostać śmieci. *Gacha* — wersja agresywniejsza, popularna w grach mobilnych — każe losować wielokrotnie, przy niskich szansach i dużej puli. Nagradza wytrwałość płacenia, nie wytrwałość grania. Psychologia za tym stojąca nie jest tajemnicą: *variable ratio reinforcement*, zmienny współczynnik wzmocnienia. Ten sam mechanizm, który napędza uzależnienie od automatów w kasynach. Nagroda przychodzi losowo i właśnie ta nieprzewidywalność trzyma cię przy ekranie. Nie nagroda. Oczekiwanie nagrody.

Z tą różnicą, że hazard jest regulowany przez prawo, a *gacha* przez regulamin sklepu z aplikacjami.

Warstwa subtelniejsza jest być może groźniejsza, bo nie wygląda na hazard. *Battle pass* — kupujesz przepustkę na sezon i odblokowujesz nagrody za granie. Brzmi uczciwie, bo wynagradza twoją pracę. Ale nie nagradza za umiejętność, tylko za czas: za to, że logowałeś się codziennie, że grałeś, bo sezon kończy się za trzy dni, a nie odebrałeś jeszcze dwudziestu poziomów, za które zapłaciłeś. Do tego sezonowe skórki, waluta premium, limitowane oferty, treść wycięta z gry i sprzedana osobno jako DLC — wszystko

skalibrowane pod te same receptory. Zmienna nagroda. Presja czasu. Poczucie, że jeśli nie kupisz teraz, stracisz na zawsze.

Automaty do gier hazardowych w Polsce są regulowane. Kasyna mają licencje, limity, nadzór. *Gacha* w grze mobilnej, w którą gra twoje dwunastoletnie dziecko, nie jest regulowana prawie nigdzie. Belgia zakazała lootboxów w 2018 roku, uznając je za hazard. Holandia próbowała, cofnęła się po przegranej w sądzie. Reszta Europy dyskutuje. Polska nie robi nic.

Wspólny mianownik? Psychologia człowieka — podatność na dopaminę, na FOMO, na poczucie straty — jest tu surowcem. Nie produktem, nie klientem. Surowcem. Twoja słabość jest wydobywana jak węgiel, przetwarzana i sprzedawana akcjonariuszom w kwartalnym raporcie.

...

W 2017 roku EA wydało *Star Wars: Battlefront II* — grę opartą na marce, z którą miliony ludzi mają emocjonalne wspomnienia. W grze za cenę 60 USD zablokowano Dartha Vadera i Luke’a Skywalkera. Żeby odblokować wszystko w grze bez płacenia — według wyliczeń graczy potrzeba było czterech i pół tysiąca godzin gry. Albo dwóch tysięcy stu dolarów.

Na Reddicie zawrzało. Ktoś wyliczył te liczby i opublikował jako arkusz kalkulacyjny. Temat eksplodował. EA odpowiedziało oficjalnym komentarzem przez konto EACommunityTeam: *„Naszą intencją jest zapewnienie graczom poczucia dumy i osiągnięcia przy odblokowywaniu różnych bohaterów.”*

Ten komentarz zebrał 683 tysiące negatywnych głosów — rekord, najgorzej oceniony komentarz w historii Reddita. Drugi w rankingu miał ich 88 tysięcy. EA było niemal osiem razy bardziej znienawidzone niż cokolwiek innego, co Reddit kiedykolwiek widział.

Sense of pride and accomplishment. Poczucie dumy i osiągnięcia.

I — co ważne — EA się wycofało. Firma obniżyła koszt odblokowania bohaterów o siedemdziesiąt pięć procent. Potem usunęła mikrotransakcje w ogóle. Sprawa trafiła do parlamentu brytyjskiego i wywołała debatę o regulacji lootboxów w kilku krajach.

To jest ważny moment. Gracze — liczna, głośna, zorganizowana społeczność — wywarli realne ciśnienie na wielką korporację i korporacja ustąpiła. Niestety nie z powodów etyki, lecz dlatego, że koszt wizerunkowy i sprzedażowy przewyższył zysk z mechanizmu.

Opór zadziałał.

A to znaczy, że ci sami ludzie — kiedy zamiast na *lootboxy* skieruje się ich gniew na kobiety w grach albo na osoby queer w grach — marnują prawdziwy potencjał prawdziwego sprzeciwu. Na zmyślony problem. Podczas gdy mechanizmy, które naprawdę dewastują medium, które tak kochają — działają bez przeszkód.

Gniew jest prawdziwy. Cel jest zmyślony.

...

Ten sam chwyt działa daleko poza gamingiem. Polaryzacja jest narzędziem politycznym — znamy ją z konfliktu PO — PiS, gdzie jedno nie istnieje bez nienawiści do drugiego. Populiści kreują fałszywe linie podziału bez względu na konsekwencje społeczne.

My — oni.

Biali — czarni.

Polacy — migranci.

Lewica — prawica.

Fani klubu piłkarskiego A — fani klubu piłkarskiego B.

Kobiety — mężczyźni.

...

Korea Południowa pokazuje dokąd to prowadzi. W wyborach prezydenckich w 2022 roku konserwatyści skutecznie wykorzystali konflikt płci i mizoginię do przyciągania młodych mężczyzn jako elektoratu wahającego się. Przepaść ideologiczna między młodymi kobietami a młodymi mężczyznami stała się tam największa na świecie. Ruch 4B — rezygnacja z randkowania, seksu, małżeństw i macierzyństwa jako akt polityczny — powstał kilka lat

wcześniej, ale w tej atmosferze zyskał nowe wyznawczynie i rozgłos. Kraj wszedł w demograficzną spiralę.

Takie będą konsekwencje pogłębienia w Polsce konfliktów na osi kobiety — mężczyźni. Te działania są już prowadzone. Widzi to każdy, kto śledzi fora dyskusyjne, reddit, social media — stopniowe nakręcanie polaryzacji. Zanik więzi społecznych, mniej spotkań offline po Covid, pozostawienie demografii rynkowi „aplikacji randkowych”, *epidemia samotności*, coraz więcej barier i podziałów społecznych, które jeszcze bardziej utrudniają dopasowanie. Gdy od lat żyjemy w osobnych algorytmicznych bańkach — nie znajdziemy porozumienia.

...

AI już nie tylko asystuje w produkcji — może generować gry. Gdy Google pokazał narzędzie, które na podstawie opisu tekstowego tworzy grywalny prototyp, akcje firm gamingowych spadły. Rynek zobaczył trajektorię. Jeśli AI dziś generuje kiepską grę w pięć minut, to za trzy lata wygeneruje przeciętną grę w godzinę.

To jest *enshittification* gamingu w czasie rzeczywistym: najpierw gry dobre dla graczy, potem dobre dla biznesu, potem dobre dla nikogo oprócz akcjonariuszy.

Intencja jest tym, co odróżnia grę od produktu. AI ma wzorce, dane, zdolność naśladowania. Lecz nie ma powodu, dla którego coś robi. Nie ma pytania, które chce zadać. Nie ma wspomnienia babci, która pilnowała tamagotchi. Nie ma hasła „Banan” i dwudziestu lat za nim.

Przynajmniej na razie.

...

Oś polaryzacji kobiety-mężczyźni jest projektowana. Co nie znaczy, że samotność pod nią jest fałszywa. To samotność prawdziwa, starsza niż jakiegokolwiek algorytm, niż forum inceli, niż kampania, która zaczęła na niej zarabiać.

Moi kumple i ja gramy dalej. Hasło do serwera wciąż jest to samo.

Banan, wszyscy.

MIŁOŚĆ

„Jest już ciemno. Ale czują nawzajem swój oddech. I wiedzą wszystko, co trzeba wiedzieć. Całują się. I czują na policzkach tępy tego drugiego. A gdyby ktoś jeszcze został, żeby na nich patrzeć, wyglądaliby jak zwykli kochankowie — głaszczący nawzajem swoje twarze, ciała blisko siebie, oczy zamknięte, nieświadomi otaczającego ich świata. Bo właśnie tak toczy się dalej życie. Właśnie tak.” — Susan, Perfect Sense, reż. David Mackenzie

W okresie nastoletnim miałem tendencję do zakochiwania się bez podejmowania jakiegokolwiek kroku. Uczucie przeżywałem w wyobraźni. Ze strachu, z powodu kompleksów.

Limerencja — stan obsesyjnego zafascynowania, nierówny i jednostronny, który żywi się wyobraźnią bardziej niż rzeczywistością.

Mamy kompleksy. Kobiety i mężczyźni. Też miałem — wygląd, brak poczucia własnej wartości, lęki. Pojęcie *męskość*. Nauczyłem się nie lubić siebie za to, że nie pasuję do czegoś, co właściwie nigdy nie zostało mi wytłumaczone *czym jest*.

Zaakceptowałem siebie, gdy zrozumiałem, czym jest *pleć kulturowa*, choć gdy nazwie się to „*ptcią kulturową*”, to brzmi jak akademicka paplanina. A jednak jest zestaw *charakterystyk*, do których podświadomie próbujemy się *dopasować*, by być *akceptowanymi*.

Łatwiej się żyje z myślą, że *bycie męskim* to nie zestaw cech biologicznych, tylko scenariusz napisany przez kogoś innego, dla kogoś innego, w innym czasie. Że można być heteroseksualnym mężczyzną z baby face i dłuższymi włosami — i nie mieć z tego powodu żadnego problemu, poza tym, który sami sobie robimy.

Są to jednak prawdziwe emocje, które przeżywamy w sobie przez długi czas. Ja na swojej drodze stykałem się z narracjami, które przy innym układzie okoliczności — inny moment, inna samotność, inny algorytm — mogły mnie sprowadzić na radykalne drogi faszyzmu, nazizmu, terroryzmu wszelkiej maści. Nie jestem pewien, co dokładnie mnie ustrzegło. Radykalizacja

młodych ludzi jest wbrew pozorom bardzo prosta i przeróżne grupy interesów zawsze *będą próbowały to wykorzystać*.

...

Samotność znam. Długo szukałem miłości.

Pierwszy związek połączyła muzyka. Kilka lat później zainstalowałem Tinder.

Narzędzie okazało się przydatne pod kątem umawiania randek. Ale sam proces jest bardzo męczący. Pełno pętli dopaminowych i technik monetyzacji, które podpuszczają cię do wydania coraz więcej pieniędzy w zwykłej walce o uwagę, co jednak jest podstawową funkcją aplikacji. Bez uwagi algorytmu nie ma randek.

Terapeuta mi powiedział, że wielu ludzi na Tinderze nie szuka tego, po co rzekomo tam jest. Prawie połowa używa go dla walidacji — żeby ktoś przesunął palcem w prawo i tym gestem potwierdził wartość. Ludzie szukają uwagi. Potwierdzenie — nie miłość. Sygnał — nie relacja. Aplikacja to rozumie lepiej niż jej użytkownicy i projektuje środowisko, w którym uwaga jest walutą. *Match* to dawka dopaminy. Brak odpowiedzi to jej odebranie. *Ghosting* to kara bez wyroku i bez uzasadnienia — mechanizm, który Tinder skonstruował tak, żebyś nigdy nie wiedział dlaczego.

Tinder z 2015 roku był inny. Prostszy. Nie było płatnych boostów, nie było „super like’ów” sprzedawanych w pakietach, nie było płatnych filtrów decydujących, kogo widzisz. Przez dekadę zmieniło się jedno: coraz więcej rzeczy jest za dopłatą. Widoczność za dopłatą. Zasięg za dopłatą. W interesie aplikacji nie jest, żebyś się zmatchował. W jej interesie jest, żebyś płacił za próbę. *Enshittification* randkowania — ta sama logika co wszędzie indziej.

Przez lata myślałem o sobie jako o użytkowniku Tindera. Człowieku, który korzysta z narzędzia. Tymczasem z perspektywy platformy sytuacja wyglądała odwrotnie. Moje dane, moje preferencje, moje wzorce zachowań — każde przesunięcie palcem, każdy match, każde porzucone w połowie zdanie — to były informacje. Surowiec. Tinder uczył się na moim zachowaniu, jak lepiej uzależniać kolejnych użytkowników, jak precyzyjniej targetować reklamą, jak projektować interfejs, który trzyma przy ekranie

możliwie długo. Byłem produktem. I płaciłem za dostęp do rynku, na którym sprzedawałem siebie — nie wiedząc, że właściwa transakcja odbywa się zupełnie gdzie indziej.

To jest model biznesowy zapisany w dokumentach finansowych spółki notowanej na giełdzie, a nie teoria spiskowa czy paranoja. Niestety.

...

Tymczasem gdy Tinder faktycznie działał — poznałem wiele ciekawych osób.

Praktycznie nie miałem *nieudanej randki*. Poza jedną, ze studentką historii. W pewnym momencie wtrąciła w rozmowie, że pozytywnie ocenia Francisco Franco.

Wstrząsnęło mną. Francisco Franco to generał, który w Hiszpanii dokonał zamachu stanu przeciw demokratycznie wybranej republice i rozpętał wojnę domową, która pochłonęła setki tysięcy ofiar, a potem przez blisko czterdzieści lat rządził dyktaturą — z obozami koncentracyjnymi, z egzekucjami politycznych przeciwników, z zakazem używania katalońskiego i baskijskiego w przestrzeni publicznej. To jest kwestia dokumentacji. Nie interpretacji.

Wstrząśnięty skierowałem randkę ku końcowi i odwiozłem ją pod akademik. Pożegnaliśmy się. Nigdy więcej jej nie zobaczyłem.

Dość dobrze znam historię Hiszpanii. Profesorka na stosunkach międzynarodowych, Katalonka, bardzo żywo opowiadała o koszmarze dyktatury Franco. Kiedy w rozmowie po hiszpańsku zrozumiała, że interesuje się teorią anarchistyczną — zaczęła mi przynosić kserokopie o CNT i FAI, o katalońskim syndykalizmie, o ludziach, którzy w czasie hiszpańskiej wojny domowej nie chcieli ani faszyzmu, ani komunizmu, ani monarchii. Chcieli, żeby lud Katalonii sam o sobie stanowił, sam w sensie wspólnoty. Ich marzenie runęło.

Kiedy świat dzieli się na dwa obozy i każdy wierzy absolutnie w swoją rację — sąsiad staje się wrogiem. Tak było w Hiszpanii lat trzydziestych. A ten mechanizm nie zniknął, tylko zmienił medium.

...

Na wczesnym YouTube trafiłem kiedyś na film o potędze polskiej husarii — niepokonanej, uskrzydłonej sile wielkiego imperium. Czułem dumę. Skakałem po kanapie, myśląc o wielkiej Polsce. To było uczucie, które kochałem, mimo że nie umiałem go jeszcze nazwać: coś, co kocham, ale na co nie mam wpływu — więc z miłości chcę mieć wpływ choćby przez dumę. Dopiero później doczytałem, że skrzydła husarii to w dużej mierze mit — niespecjalnie praktyczny w boju.

Te same lata dały mi odtrutkę. W sali szkolnej inny Hiszpan zmienił sposób, w jaki patrzę na historię. Nauczył mnie myśleć.

Opowiadał o tym, co korporacje robią w krajach rozwijających się. O zbrodniach Nestlé, Coca-Coli, koncernów paliwowych. O wycince lasów Amazonii, o niszczeniu całych ekosystemów pod uprawy oleju palmowego. O tym, że czekolada ma cenę, której nie widać na etykiecie. Zachęcał do zadawania pytań. Do kwestionowania status quo. Wtedy jako nastolatek nie rozumiałem jeszcze, że otrzymuję narzędzia niezbędne dziś w moim codziennym życiu. Ale to już kwestia dobrego nauczyciela, a nie programu nauczania.

Sam program dał mi za to coś innego. W moim liceum dwujęzycznym historia polska i dzieje Hiszpanii biegły równolegle — dwa oddzielne tory. Nosilem podręczniki do obydwu. Z perspektywy narracji o Hiszpanii — Polska nie istnieje, a mapa Europy urywa się gdzieś na Odrze. Dalej: barbarzyńcy. W perspektywie narracji o Polsce — Hiszpania nie odgrywa dużej roli, może poza okresem imperialistycznej kolonizacji. To nie kłamstwo, po prostu każda narracja jest czyjąś narracją. Prawda zależy od punktu widzenia i doboru faktów.

...

Samotność jest prawdziwa. Potrzeba miłości jest prawdziwa. Odrzucenie boli naprawdę. I gniew, który z tego bólu wyrasta — jest autentyczny.

Ale gniew można przekierować.

Środowisko *manosphere* — sieć męskich społeczności w internecie — nie wymyśliło nienawiści do kobiet. Znalazło zdemobilizowanych, zranionych, często bardzo młodych mężczyzn — i powiedziało im: twój ból jest jej winą.

System wypycha ludzi poza margines, a oni znajdują ukojenie w zmonetyzowanych społecznościach, które jak sekta dają proste recepty na skomplikowane problemy.

Ich ból jest prawdziwy. Adres, pod który go wysyłają — zmyślony.

...

Adolescence — serial Netflixa z 2025 roku, nakręcony w czterech długich ujęciach bez cięcia, arcydzieło technicznie i boleśnie trafne merytorycznie — opowiada o trzynastolatku, który zabija koleżankę po tym, jak go odrzuciła i nazwała w socialach *incelem*. Eksperci od radykalizacji online potwierdzają: to nie jest fikcja, to dokumentacja mechanizmu. Chłopcy nie szukają nienawiści. Algorytmy ją do nich przynoszą — przez wyszukiwania o poczuciu własnej wartości, przez filmy o tym, jak „zostać lepszym mężczyzną”, przez stopniowe przesuwanie granicy tego, co jest normą, a co żartem. Algorytm nie wie, co robi. On tylko optymalizuje zaangażowanie. A treści wywołujące gniew generują więcej zaangażowania niż treści wywołujące spokój.

Ja te treści widziałem. Wiem, jak wyglądają. Wiem, jak działają. Ale wiedza nie jest szczepionką — sam wsiąknęłam, tylko w inny gniew, na innej platformie, przekonany, że mój akurat jest słuszny. Mechanizm nie pyta o treść.

Jest jednak w mojej rodzinie osoba, bliska mi — która nie wiedziała, jak to działa. Gdy zapytałam, skąd czerpie wiedzę o świecie, odpowiedziała bez zastanowienia: z TikToka. „Telewizji już nie oglądam”. Z TikToka wyniosła nienawiść i strach. Nie dlatego, że jest złym człowiekiem. Dlatego, że algorytm to jej podsunął. Dawkował. Wiedział, że te treści wywołują w niej emocje — i podawał ich więcej. Ona czuła gniew. I nie wiedziała tak naprawdę na kogo.

To mnie smuci. Głęboko, osobiście — bo rodzina jest też formą miłości. I system, który rozbija ją przez algorytmiczną radykalizację, jest systemem, który atakuje coś fundamentalnego w polskich rodzinach — i tak już wcześniej podzielonych polaryzacją PO/PiS.

Rodzina to dla mnie nie drzewo genealogiczne. Nie formalność krwi. Kochać rodzinę to dbać o więzi, które są żywe — zbudowane na wspólnej historii, na przeżyciach, na tym, jak spędzamy razem czas i jak się przy sobie czujemy. Same więzy krwi nie są jeszcze relacją. Relacją staje się to, co między ludźmi naprawdę płynie.

Rodzina bywa inspiracją. Mój wujek ma refleks komediowy, jakiego nie spotkałem u nikogo innego. Dystans i zdolność znalezienia czegoś zabawnego w ułamku sekundy — niezależnie od tematu. Niedawno, przy rozmowie o polowaniach na czarownice, rzucił bez wahania: „nie wiem, czy to aż takie złe było do końca”. Śmiałem się, zanim zdążyłem się oburzyć.

Staram się pielęgnować to, co dobre — i pozwalam sobie odpuścić to, co zatrauwa. Z troski. Bo najbliższe więzi to jedna z niewielu rzeczy, które w całym tym systemie naprawdę są nasze. I mamy wpływ na ich jakość.

...

Algorytmy są projektowane, ale ich działanie jest tajne. Absurdalna jest bierność europejskich narodów w zakresie kontroli nad amerykańskim sektorem prywatnym nowych technologii, które pozbawiają nas suwerenności. Gniew generuje zasięg, zasięg generuje pieniądze, władzę — i ochronę dla tych, którzy mają dość pieniędzy, żeby kupić sobie wpływ.

Tinder jest prywatną firmą, której celem jest zysk. Jej model biznesowy opiera się na tym, że zostajesz na platformie — a zostajesz, kiedy nie możesz się zmatchować. Sukces użytkownika jest porażką aplikacji. To wynika wprost z logiki monetyzacji.

Za demografię powinno odpowiadać państwo polskie. Rząd jednak pozwala, żeby rynek samotności był zarządzany przez platformy, których interes jest dokładnie odwrotny do deklarowanego celu.

Samotność jest problemem publicznym. Monetyzacja samotności jest problemem publicznym. Odpowiedź musi być publiczna.

...

W filmie *Perfect Sense* (2011) świat traci kolejno zmysły. Najpierw węch. Potem smak. Potem słuch. Na końcu wzrok. Każda utrata poprzedzona jest

falą emocji — najpierw terror, potem głód, którego nie można nasycić niczym, co istnieje, który rozrywa od środka — a potem spokój. Przyjęcie tego, co zostało.

Na końcu jest ciemność. I dwoje ludzi, którzy czują swój oddech. I wiedzą wszystko, co trzeba wiedzieć.

To jest odpowiedź na pytanie, czym jest miłość. Nie definicja, nie teoria, nie algorytm. Obecność. Ciepło. Wspólna ciemność, w której nie jesteś sam.

Tego nie da się zmonetyzować, choć wszyscy próbują.

Spędziłem tę książkę, snując rozmyślenia o naturze systemów. Ale między zrozumieniem mechanizmu a jedną nocą, w której ktoś trzyma cię i wiesz, że jesteś bezpieczny — wybieram noc.

POGLĄDY

„Wierzę, że jesteśmy w kryzysie. Odległość między tym, co się mówi, a tym, co wiadomo, że jest prawdą, stała się przepaścią.” — Mon Mothma, *Andor* (2025)

Dość niedawno odbyłem kilkugodzinną rozmowę ze starym przyjacielem, który identyfikuje się jako *nazista*.

Jego identyfikację traktowałem w czasach młodości jako *edgy* charakter, próbę wyróżnienia się. Z czasem żart przestał brzmieć jak żart. Krytyka Izraela — słuszna, bo gdy państwo zabija dzieci tysiącami, słuszna jest krytyka — skreśliła u niego w obszary bliższe teoriom spiskowym. Gdzieś po drodze zgubiłem moment, w którym mogłem powiedzieć: *czekaj, teraz to już nie jest żart, teraz to jest światopogląd*.

Nie jestem zresztą pewien, czy on sam wie, kim się nazywa. Wkręcił się w to jako nastolatek i nigdy tego nie zakwestionował — a etykieta, której się nie kwestionuje przez lata, przestaje być etykietą i staje się rolą. Mam nadzieję, że kiedyś to zobaczy. Wiem jednak, jak trudno zmienia się poglądy.

Znam tę drogę. Kiedy zacząłem w sieci wchodzić w treści o Palestynie — czytać, komentować, udostępniać, w czasie gdy skali tego, co się tam działo, nie dało się już bronić — algorytm zaczął mi podsuwać coś jeszcze. Nie od razu. Stopniowo, krok po kroku: najpierw ostrzejsza krytyka, potem materiały o tym, kto „naprawdę” kontroluje media, w końcu treści wprost wychwalające zbrodniarza Hitlera. Z krytyką konkretnego rządu i konkretnych zbrodni nie miały już nic wspólnego. Były czymś innym — starą, dobrze opisaną narracją, która tłumaczy cały świat jedną grupą ludzi i przy okazji odwraca wzrok od tego, jak naprawdę działa system.

Takie momenty przypominają mi, jak łatwo wejść na tę zjeżdżalnię w otchłań radykalizacji.

Tamtej nocy rozmawialiśmy cztery godziny. Od konfliktów w związkach, po Ukrainę i Izrael. O tym, czy nasze pokolenie jeszcze w ogóle pamięta, jak buduje się relację długoterminową, czy już tylko reagujemy.

I w wielu punktach dochodziliśmy do tych samych wniosków. O Izraelu, o hipokryzji Zachodu, o tym, że klasy pracujące w Europie zostały opuszczone przez lewicę, która zaczęła mówić językiem, którego nie rozumie nikt poza nimi samymi. O tym, że demokracja liberalna nie wytrzymuje presji, bo zapomniała, po co jest. Dochodziliśmy do tych samych wniosków różnymi drogami. W wielu miejscach opinie krzyżowały się. To nie jest komfortowe odkrycie.

Nie przeszczepiłem mu moich poglądów. Ale coś innego w tej rozmowie było nowe. Mimo różnic nie byłem w towarzystwie wroga, tylko w towarzystwie człowieka.

Warto przy okazji nazwać granice. Słucham go, bo chcę zrozumieć mechanizm, nie bo uznaję jego wnioski za równoprawne. Nie rozciągam tej otwartości na sam pogląd — bo pogląd, że Hitler miał rację, jest po prostu błędny, moralnie i faktycznie. Rozciągam ją tylko na człowieka, który mimo tego poglądu wciąż potrafi słuchać i wątpić.

Ta granica przebiega tam, gdzie pogląd przestaje być poglądem i staje się działaniem. Gdyby on organizował, rekrutował, szkolił, krzywdził — rozmowa skończyłaby się natychmiast. Nie utrzymywałbym relacji z kimś takim. Rozmawiam z człowiekiem, który dotąd tylko mówi. W dniu, gdy zacząłby działać, przestałby być tylko rozmówcą.

...

Jest różnica między poglądem a postawą.

Pogląd to treść. *Jestem za X, przeciw Y*. Poglądy można mieć i zmieniać. Poglądy są jak ubrania — nosisz je przez jakiś czas, potem wyrastasz z nich, odkładasz, kupujesz nowe. Ktoś, kto ma te same poglądy przez całe życie, jest albo geniuszem, który wszystko rozgryzł w wieku osiemnastu lat, albo człowiekiem, który przestał się rozwijać. Statystycznie drugi przypadek jest częstszy.

Postawa to forma. *Jak* trzymam swoje poglądy. Czy z ciekawością czy z lękiem. Czy gotowy jestem je zrewidować czy gotowy walczyć. Czy widzę człowieka po drugiej stronie czy widzę wroga do zneutralizowania. Czy chcę zrozumieć czy chcę wygrać.

Mój przyjaciel ma poglądy, które wywołują we mnie dyskomfort. Ma też postawę, która pozwala nam rozmawiać cztery godziny bez zniszczenia niczego. Poznałem w życiu ludzi o poglądach, które dzielę w 90%, a z którymi nie wytrzymałbym godziny — bo ich postawa była taka, że każda rozmowa musiała być wygraną albo przegraną.

...

Moja pierwsza kartka do głosowania, 2008 rok, osiemnaście lat. Zagłosowałem na UPR Janusza Korwin-Mikke, bo *fajnie gadał o gospodarce*. Miał dane i charyzmę wuja, który na weselu tłumaczy ci, dlaczego państwo jest złe. Nie wiedziałem jeszcze, że charyzma wuja i trafność diagnozy to dwie różne rzeczy. Głosowałem szczerze. Potem doczytałem, że *libertarianizm* to jednak nie do końca dobry zestaw rozwiązań.

Miałem różne fascynacje. Chwilę kręcił mnie anarchizm, od teorii po koncerty. Mój bunt i gniew wynikał z ogólnego poczucia, że *państwo kłamie, kapitał kradnie*, a my powinniśmy się *rozejść i zbudować* coś innego. Ale gdy zacząłem w praktyce budować rzeczy i zarządzać zespołami, to zrozumiałem, że potrzebujemy strukturalnych ram, aby porządkować współczesne społeczeństwo. Nie da się tego zrobić inną drogą niż przez reformy państwowe i struktury państwa. Ale „demokratyczny socjalizm” to też tylko szuflada teorii i historii, ze swoim bagażem, ze swoimi trupami w szafie, ze swoimi uproszczeniami. Każdy „-izm” jest szufladą. Szuflada jest wygodna — porządkuje. I szuflada jest niebezpieczna — zamyka.

Kolega z liceum był pierwszym człowiekiem, który powiedział mi, że ma poglądy lewicowe — a ja usłyszałem to prawie jak wyznanie choroby. Bo w polszczyźnie „lewy” znaczy zły. Lewizna. A „prawy” to prawość. Samo słownictwo przechyla szalę, zanim zdążysz pomyśleć. I to jest część większego absurdu: nie da się ułożyć całej ideologii na kiju z dwoma końcami. A jednak ciągle próbujemy.

Przede wszystkim jestem Kuba. Mam kilka zajawek. Żaden „-izm” mnie do końca nie zamyka. Wolność od kategoryzacji i uproszczeń.

Nie ma etycznej konsumpcji w kapitalizmie. Jest to najwygodniejsze zdanie, jakie znam. Miecz obosieczny. Można nim usprawiedliwić wszystko („i tak nic nie zmienię”) albo obwiniać się o wszystko.

Na terapii dostałem kiedyś zdanie, którego nie chciałem usłyszeć: że nie mogę być zakładnikiem własnych dogmatów. Że mam impuls, żeby każdą codzienną decyzję przepuszczać przez etykę ideologiczną — i że komplikuję sobie tym życie bez pożytku dla kogokolwiek. Ideologia nie może rządzić życiem. Co nie znaczy, że wolno mi wszystko. Umowa społeczna dalej powinna porządkować to, co między nami. Ale praca jest do wykonania w relacjach, nie w koszyku zakupowym.

W państwie powinniśmy dojść do poziomu racjonalnego rozwiązywania problemów z uwzględnieniem przyczyn i skutków oraz długoterminowego planowania opartego o dane i naukę. W warunkach polaryzacji i walki o uwagę zostaje wyłącznie generowanie sztucznych podziałów i sztucznych problemów.

Moje poglądy ewoluowały. Dzisiaj trzymam wiele z nich nadal, lecz mniej pewności, że mam rację.

Eksperyment myślowy: *mogłem mieć inne poglądy*. Gdyby mój ojciec czytał inne książki. Gdyby w liceum trafił mi się inny nauczyciel historii. Gdybym zamiast *Star Wars* oglądał w dzieciństwie coś innego. Gdybym urodził się na wsi, a nie w mieście.

Moje poglądy nie są tylko moją zasługą. Są też moją geografią.

Ta świadomość nie prowadzi do relatywizmu. Nie prowadzi do tego, że wszystko jest równie prawdziwe. Niektóre rzeczy wciąż są faktami — a nie opiniami. Klimat ociepla się z winy człowieka. Demokracje przegrywają z autorytaryzmem, gdy tracą instytucje. Dzieciom niepotrzebny jest strach przed piekłem, żeby być dobrymi ludźmi. Te rzeczy wiem. Trzymam je inaczej niż wtedy, gdy miałem dwadzieścia pięć lat — ale nadal je trzymam.

Wiem, co robi dziecku strach zaszczepiony przez dorosłego. Katechetka w moim przedszkolu mówiła, że od siniaków dostaje się raka skóry — tego samego wieczoru płakałem w łazience, patrząc na posiniaczone od trzepaka i asfaltu kolana, przekonany, że umrę. Mówiła też, że nie wolno klękać na jednym kolanie, bo tak klękają żołnierze, gdy zabijają. Nie wiem, co dokładnie te zdania ze mną zrobiły. Wiem, że nic dobrego — i że mój

ambiwalentny stosunek do religii zaczął się gdzieś tam, na tej przedszkolnej podłodze.

Co się zmieniło, to moja relacja z ludźmi, którzy trzymają coś innego.

...

Większość ludzi nie kwestionuje swoich poglądów. To nie jest ocena moralna, to jest obserwacja. Dlaczego?

Bo kwestionowanie jest drogie. Mózg zużywa dużo energii na to, co jest nowe i niepewne. Ewolucja nagrodziła tych, którzy używali skrótów — jeśli moja grupa uważa X, przyjmuję X bez sprawdzania, bo sprawdzanie kosztuje czas i uwagę, a czas i uwaga były zasobami rzadkimi w plemieniu zbieracko-łowieckim. Dziś ciągle są rzadkie, tylko z innych powodów. Kto ma pracę, dzieci, kredyt i trzeci rok przeciekającego dachu, ten nie ma mocy przerobowej na rewidowanie tego, co myśli o polityce monetarnej Europejskiego Banku Centralnego. Bierze heurystykę grupową i idzie spać.

Bo tożsamość jest ważniejsza niż prawda. Nie używamy rozumu, żeby dochodzić do wniosków. Używamy rozumu, żeby uzasadniać wnioski, które już mamy. Zmiana poglądu nie jest operacją intelektualną. Jest operacją tożsamościową. Wymaga powiedzenia: *byłem w błędzie, moi ludzie byli w błędzie, moja historia o świecie była fałszywa*. To jest mała śmierć. Badania obrazowania mózgu pokazują, że dysonans poznawczy aktywuje te same obszary, co fizyczne zagrożenie.

Zmiana poglądu boli tak jak złamana kość.

U mnie poglądy wciąż ewoluują. Ten ból rozkłada się na lata. Najczęściej pod wpływem rozmów i podróży. Doświadczeń.

W tym roku byłem kilka dni w Serbii, w tym w Belgradzie. Wiele budynków do dziś nosi ślady nalotów. Gdy w 1999 roku trwały naloty NATO, ja miałem dziewięć lat. Pamiętam migawki z telewizji. Niewiele rozumiałem.

78 dni bombardowań NATO. Bez mandatu ONZ. Oficjalny cel: powstrzymać czystki etniczne w Kosowie. Efekt uboczny: setki zabitych cywilów, zniszczona infrastruktura, trauma pokoleń. Czy bombardowania były uzasadnione? Serbskie siły dopuszczały się zbrodni wojennych w Kosowie,

w Bośni i w Chorwacji. Srebrenica naprawdę się wydarzyła. Reżim Milosevicia dehumanizował sąsiadów — *polaryzował* narody.

Amerykańskie i europejskie bomby spadały jednak na ludzi, którzy nie podejmowali tych decyzji. Dziś pomnik zabitym dzieciom stoi w pięknym, odwiedzanym chętnie parku. Napis mówi o „agresji NATO”. Graffiti anty-NATO są na ścianach w całym mieście. Widziałem nawet napisy zakłamujące historię — wybielające Serbów.

Zbombardowane budynki ministerstw i telewizji stoją do dziś ze śladami bombardowania. Celowo, aby miasto nie zapomniało. Aby naród pamiętał o bólu. Historia jako narzędzie propagandy i polaryzacji w rękach kolejnych elit.

Zło nigdy nie jest po jednej stronie. Propaganda odczuwacza i działa na każdy naród, wszędzie na świecie. Strach zamienia zwykłych ludzi w sprawców. Później normalizujemy konsekwencje i *scrollujemy* dalej.

Na pierwszej prawdziwej randce z osobą, z którą jestem dziś, rozmawialiśmy o tym, że historia lubi się powtarzać. Że kotem się toczy. To banał, który wszyscy znają i mało kto bierze na serio. A ja, kiedy czytam o II Rzeczypospolitej — o jej sporach, o kruchości młodej demokracji, o tym, jak łatwo osuwała się w autorytaryzm — widzę problemy żywe także dziś. Technologia zmienia trochę pole gry. Ale ludzkie przywary, które ekstrapoluje, znamy od tysięcy lat: strach przed obcym, głód przynależności, łatwość, z jaką tłum daje się poprowadzić.

Najlepiej rozumie to popkultura, kiedy jest odważna. Tony Gilroy, twórca *Andora*, nie wymyślił swojej rewolucji od zera. Zbudował ją z prawdziwej historii — napad na imperialny garnizon wzorował na napadzie Stalina na bank w Tyflisie w 1907 roku, postaci lepił z rewolucjonistów pokroju Trockiego. O faszyzmie mówił wprost: wyciągasz podręcznik „fasyzm dla opornych”, tam jest te piętnaście rzeczy, które się robi, i próbowaliśmy zmieścić ich jak najwięcej. Bo fasyzm nie jest wydarzeniem. Jest przepisem. Powtarza się, bo ludzie się powtarzają.

Gilroy zauważył jeszcze jedno: każda rewolucja ma moment, w którym ktoś zapala zapałkę i nagle wszystko się zmienia — a ludzie, gdy raz się przechylą,

idą do końca. Widziałem ten moment na własne oczy, na ulicach Łodzi tamtej jesieni. Tyle że zapalka nie zawsze pali to, co powinna.

W Europie trwa wciąż inwazja Rosji na Ukrainę. Czy przyzwyczailiśmy się już do niej? Jak przyzwyczailiśmy się do wizji katastrofy klimatycznej, do niekompetentnych polityków, do niesprawiedliwości i wyzysku. Tak przyzwyczajamy się do kolejnych wojen, lub w ogóle się o nich nie dowiemy — bo szum informacyjny, bo specyfika działania algorytmów. A równolegle ktoś metodycznie podkręca atmosferę niechęci na linii Polska–Ukraina — pogromową z ducha, algorytmiczną z mechaniki. To powinno zaniepokoić każdego myślącego człowieka, niezależnie od poglądów na samą wojnę. Bo skrajna prawica, która tę niechęć podsyca, nie da ci ani lekarza, ani pracy, ani mieszkania — da ci tylko winnego, dokładnie według przepisu, o którym pisał Gilroy.

Trzymamy się kurczowo swoich narodów, swoich narracji, bo nie znamy niczego lepszego. A jeśli zmienisz *pogląd*, twoi *ludzie* mogą cię *odrzuć*. Rodzina, znajomi, koledzy z pracy, szum pod profilem w mediach (anty)społecznościowych.

Ludzie, którzy przeszli przez to — rewizję poglądów i często przynależności do organizacji — wszyscy mówią o tym samym: o samotności okresu przejściowego. Stara grupa traktuje cię jak zdrajcę. Nowej nie ma lub jeszcze nie ufa. Przez kilka miesięcy albo kilka lat jesteś nigdzie. Ewolucja nauczyła nas bać się wykluczenia z grupy bardziej niż śmierci, bo przez większość historii wykluczenie oznaczało śmierć. Ten strach nie zniknął, tylko dlatego, że mamy ogrzewanie centralne.

Poglądy można mieć jakiegokolwiek, rano inne niż wieczorem. To postawa — w obliczu dziejącej się komuś krzywdy, niesprawiedliwości — pokazuje charakter człowieka.

Infrastruktura do kwestionowania zniknęła. Kiedyś były instytucje, które uczyły kwestionowania jako nawyku: klasyczna edukacja humanistyczna, seminarium akademickie, prasa w modelu odpowiedzialności redakcyjnej, debaty publiczne o określonych regułach.

Dziś dominuje inny model. Treść dopasowana algorytmicznie do tego, co już myślisz. Feed nie oferuje antytezy. Feed oferuje wzmocnienie tezy. Prowokacyjna „debata” online nie jest kwestionowaniem — jest performansem tożsamościowym dla publiczności, która już wybrała stronę.

Polityka miała być sztuką rządzenia państwem. Media — zwłaszcza te (anty)społecznościowe — zamieniły ją w plotkarski spektakl personalnych wojen: kto co o kim powiedział, a gorzej, kto komu napisał trafniejszy sarkastyczny komentarz.

Szum informacyjny gęstnieje, a my z roku na rok korzystamy coraz dłużej z ekranów, coraz bardziej intensywnie. Pętli dopaminowe doprowadzają do społecznego *kryzysu deficytu uwagi* — nie jesteśmy w stanie skupić się na czymś dłużej niż minutę, nie mówiąc już o przeprowadzeniu rozumowania, które nie kończy się na emocji.

Ja sam jestem ofiarą. W ciągu ostatnich kilku lat zacząłem kilkanaście książek, nie skończyłem żadnej. Moje zasoby mentalne zostały wyplukane. Tracę umiejętność skupienia i łatwo się rozkojarzam. Sam ulegam presji pętli dopaminowych i wiem, że bez pewnych narzędzi teoretycznych oraz doświadczeń nie byłbym w stanie się obronić przed wtłaczanymi mi narracjami.

Proces *enshittification* przestrzeni internetowej to wyścig do dna. Platformy rywalizują o uwagę, sprzedają ją reklamodawcom, w efekcie rozbijają naszą uwagę i powielają model krótkich treści. Wszystko pod dyktando algorytmu, który jest tajny i kontrolowany przez amerykański sektor prywatny.

W *Odysei* jest wyspa, na której rośnie lotos. Kto go zje, przestaje pamiętać, po co płynął. Nie umiera, nie cierpi — po prostu zostaje, syty i spokojny. Odyseusz musiał siłą zaciągać swoich płaczących ludzi na statek, bo nie chcieli wracać do domu.

Trzy tysiące lat później każda i każdy z nas nosi tę wyspę w kieszeni.

...

Gdy siedziałem godzinami na Instagramie, robiąc treści o przywarach kapitalizmu i katastrofie klimatycznej, w którymś momencie zauważyłem, że

mój ton staje się tonem ludzi, z którymi walczę. Kategoryczny, tak samo pewny siebie, niecierpliwy wobec niuansu.

Produkowałem krótkie posty antykapitalistyczne na platformie, która zarabia na moim zaangażowaniu. Publiczność rosła i emocje publiczności rosły. Moje emocje rosły. W pewnym momencie zacząłem się zastanawiać, kto tu kogo używa.

Mój *pogląd* się nie zmienił, ale moja *postawa* tak. Byłem wściekły w sposób, który nie służył już analizie, tylko napędowi. Kwestionowałem wszystko wokół, poza sobą. Wokół dogadzającej echosfery, w której mieszkalem, nie miałem powodu, żeby zakwestionować cokolwiek z własnego obrazu świata. Grupa mówiła mi, że mam rację. Algorytm mówił, że mam rację. Statystyki zasięgów mówiły, że mam rację. Dopiero zmęczenie — i praca terapeutyczna, i patrzenie na ludzi poza tym mikrokosmosem — zaczęły pokazywać, że między „mam rację” a „trzymam ten pogląd w zdrowy sposób” jest przepaść, której przez długi czas nie widziałem.

W *epidemii samotności* czujemy, że nie pasujemy do żadnej grupy. Przybieramy tożsamości ze sfery cyfrowej. Wierzimy: *mój* obóz rozwiązuje problemy. Podział lewica i prawica nie jest symetryczny w każdym wymiarze. W wielu wymiarach jest bardziej symetryczny, niż którakolwiek strona chce przyznać — ale nie we wszystkich, i to jest istotne: erozja instytucji demokratycznych nie jest symetryczna, stosunek do faktów nie jest symetryczny, gotowość do przemocy politycznej nie jest symetryczna.

W Stanach działa zjawisko, którego Europa jeszcze w pełni nie skopiowała, ale się szykuje. Nazywa się afektywna polaryzacja. Ludzie coraz mniej głosują *za* swoją partią, coraz bardziej *przeciw* drugiej. Tożsamość partyjna stała się tożsamością plemienną, jak kibicowanie drużynie. Ważne nie jest, czy spadają ceny paliw czy jajek. Ważne jest, czy *moi* rządzą. Ważne jest, czy *ich* boli.

Dowodów, że Europa się „szykuje”, nie trzeba szukać daleko. Wielka Brytania spolaryzowała się do Brexitu — a jego skutki odczuwa dziś, boleśnie, mimo to ci sami politycy, którzy do niego doprowadzili, znów rosną w sondażach. We Francji skrajną prawicę udaje się dotąd pokonywać tylko przez kordon sanitarny — zjednoczenie wszystkich pozostałych partii

przeciwko jednej. Ale kordon przestanie działać w momencie, gdy ruch, który wypycha, będzie większy niż sam kordon. W Niemczech AfD buduje część swojej narracji na niechęci do Polski — dla niektórych jej polityków Polska w ogóle nie istnieje jako podmiot. A mimo to niemieckie wybory rzadko traktujemy w Polsce jako kwestię bezpieczeństwa narodowego, choć powinniśmy.

Trumpa Amerykanie wybrali dwukrotnie — obiecywał im tańsze życie, a wywołał wojnę handlową, która podniosła ceny dokładnie tym, którzy na niego głosowali. Wzorzec się powtarza: liderzy rosnący na gniewie kanalizują go w kierunkach, które niewiele mają wspólnego z realnym źródłem tego gniewu. Trudno przy tym wierzyć w ich szczerłość albo czysty kompas moralny — zbyt wygodnie im, gdy ludzie złością się na sąsiada, migranta, sąsiedni kraj, zamiast na tych, którzy naprawdę decydują.

Jest w tym jeszcze jeden paradoks, rzadziej wypowiedziany. Przywództwo — zwłaszcza przywództwo państwem — jest w ogromnej części umiejętnością łagodzenia sporów, negocjowania, ustępstw w rzeczach mniejszych, żeby wygrać większe. Stawiania interesu państwa ponad własną opinią. To są kompetencje nudne i niewidoczne, a w warunkach polaryzacji wręcz dyskwalifikujące: kto szuka konsensusu, ten wygląda na miękkiego.

Więc wybieramy twardych. Tyle że „twardy” w tym znaczeniu to człowiek, który nie umie ustąpić, nie przewiduje ruchu drugiej strony i reaguje emocją na każdą zaczepkę. Taki człowiek jest wyjątkowo łatwy do rozegrania. Robią to więc przeciwnicy polityczni w kraju i robią to obce wywiady — rozgrywają.

Wydaje nam się, że wybieramy siłę, lecz wybieramy podatność na manipulację, ubraną w kostium siły.

To jest mechanizm, którego używają już prawie wszyscy. Demokrat, który głosuje przeciw Trumpowi, bo go nienawidzi, jest w tej samej pułapce co republikanin, który głosuje na Trumpa, bo nienawidzi demokratów. Różnią się treścią, a nie mechanizmem.

Kiedy ten mechanizm wygrywa, pogląd przestaje mieć znaczenie. Liczy się tylko postawa. A postawa, niestety, jest wtedy jedna: *moi mają rację, bo są moi. Ich trzeba pokonać, bo nie są nami.*

Nie jestem pewien, czy moja lewicowa tożsamość sprzed kilku lat była czymś innym. Prawdopodobnie nie była. Prawdopodobnie miałem słuszne poglądy i nienajlepszą postawę. Prawdopodobnie niektórzy moi ówcześni przeciwnicy mieli niestuszne poglądy i lepszą postawę. Prawdopodobnie niektórzy mieli słuszne poglądy i lepszą postawę ode mnie, a ja ich nie widziałem, bo byli oznaczeni inną flagą.

...

Najrzadsza forma kwestionowania nie dotyczy cudzych poglądów. Dotyczy własnej reakcji na cudze poglądy.

Dlaczego cieszy nieszczęście ludzi, których nie lubimy? Dlaczego podajemy mem, w którym ktoś z drugiej strony wychodzi na idiotę? To jest moment, który dzieli ludzi na tych, którzy kwestionują, i tych, którzy nie kwestionują. Nie inteligencja. Nie wykształcenie. Nie klasa społeczna. Narzędzia i ten moment, kiedy zauważasz w sobie coś, czego nie chcesz, i zamiast to wyprzeć albo usprawiedliwić — zostawiasz to na powierzchni. Patrzysz. Pytasz: *skąd się to we mnie wzięło?*

Niewielu ludzi ma powód, żeby do tego dojść. Większość dochodzi dopiero wtedy, gdy coś w ich życiu się rozpada. Rozwód. Śmierć rodzica. Zdrada przyjaciela. Utrata pracy. Albo coś mniej dramatycznego — kuzyn, który jest gejem, którego kochasz, a kościół mówi, że jest zły. Syn, który mówi, że czuje się dziewczyną. Cóрка, która przyprowadza do domu kogoś, kto nie pasuje do historii, którą sobie o rodzinie opowiadasz. Coś musi puścić.

Ludzie nie kwestionują siebie z ciekawości. Kwestionują, bo rzeczywistość ich zmusza. Bo coś osobistego nie pasuje do mapy. Bo ktoś, kogo kochają, nie mieści się w kategoriach, którymi się posługiwali. Dopiero wtedy zaczynają pytać.

...

Pamiętam pierwszy raz, kiedy dałem się nabrać. Byłem nastolatkiem. Zobaczyłem newsa, że Madagaskar może dołączyć do Polski. Pobiegłem do rodziców: „Nie uwierzycie, będziemy mieć dużą wyspę koło Afryki.” News był fałszywy — dotarło to do mnie dopiero po pierwszym impulsie emocjonalnym, gdy zacząłem szukać więcej informacji, bo chciałem

wiedzieć więcej. Równie dobrze mogłem tego nie zrobić i żyć dalej z marzeniem o madagaskarskim wybrzeżu.

Nie było mi przykro, że informacja była fałszywa. Było mi wstyd, że się nabrałem. Tak samo reagują ofiary scamów — ludzie, którzy tracą prawdziwe pieniądze przez oszustwo, a potem nie zgłaszają tego nikomu, bo wstyd za naiwność jest silniejszy niż strata.

W wieku trzydziestu lat nauczyłem się czegoś, co powinno być przedmiotem obowiązkowym w szkole, a nie jest. Nauczyłem się patrzeć na własne emocje z odległości. Widzieć, jak wchodzą. Pytać, skąd przyszły. Zanim na nie zareaguję — sprawdzić, czy chcę na nie zareagować. Czy to, co czuję, jest moje, czy zostało we mnie zainstalowane w ciągu ostatnich trzydziestu sekund przez piętnaście sekund wideo, które ktoś zmontował w jakimś *swoim* celu.

Umiejętność cyfrowej samoobrony niezbędna jest do obrony naszych własnych umysłów. Zadawanie pytań: „skąd ta emocja?”, „czy to, co czytam, jest prawdą?”, „komu zależy, żebym myślał, że to jest prawda?”, „kto zarabia na moim zaangażowaniu?” — to powinny być odruchy.

To, co tu daję, to same narzędzia obronne — nic, czego dałoby się użyć jako ataku. O kimś, kto ten mechanizm rozumie doskonale i używa go świadomie, kosztem innych — nie mam dobrego zdania.

Jednakże władza, która zawdzięcza swoją władzę polaryzacji, nie zafunduje obywatelom kursu rozpoznawania polaryzacji. Platforma, która zarabia na zaangażowaniu, nie wyjaśni ci, jak działa jej feed.

Ban na smartfony w szkołach jest być może jakimś kierunkiem, ale sam ban niczego nie rozwiąże. Bo po smartfony dzieci sięgną po prostu później. I wejdą w świat, który jest zaprojektowany, żeby ich rozgrywać. Przepadną, jeśli nie otrzymają narzędzi, żeby się bronić.

Edukacja emocjonalna. Obrona poznawcza. Higiena mediów. To są umiejętności przyszłości, a może już teraźniejszości. Bez nich kwestionowanie poglądów jest akademickim ćwiczeniem, bo większość naszych poglądów nie rodzi się już z rozmów przy stole, lecz z algorytmicznego feedu.

...

Nie wiem, kim będę za dziesięć lat. Nie wiem, które z poglądów, które teraz trzymam, okażą się za dekadę żenujące. Niektóre na pewno. Zbyt dobrze pamiętam, kim byłem dziesięć lat temu, żeby ufać sobie teraz. A ocenę kształtują też często czynniki zewnętrzne, na które nie mamy wpływu.

Najkrótsza definicja asertywności, jaką znam, nie mówi o mówieniu „nie”. Mówi o dwóch rzeczach naraz: dać sobie prawo do bycia sobą i dać innym prawo do bycia sobą. Jedno bez drugiego nie działa. Kto nie daje tego prawa sobie, będzie żył cudzym scenariuszem. Kto nie daje go innym, prędzej czy później zacznie ich naprawiać — i nazwie to troską.

Przez lata miałem problem z obiema połowami.

Rozmowa z moim przyjacielem, który uważa, że Hitler miał rację, zostawiła we mnie coś, czego nie zostawiła żadna rozmowa z kimś, kto ma identyczne poglądy jak ja. Zostawiła we mnie pytanie. A pytania — nie odpowiedzi — są tym, co trzyma człowieka w ruchu.

On nie zmieni zdania przeze mnie. Ja nie zmienię zdania przez niego. Ale przez jakąś chwilę, w tamtej nocnej rozmowie, byliśmy w tym samym miejscu. Nie w tych samych poglądach. W tej samej postawie. Otwartej. Zmęczonej. Ludzkiej.

Czasami to jest wszystko, co można dostać. I czasami to wystarcza.

ULICA

„*Ya basta.*” — Pierwsza Deklaracja z Dżungli Lakandońskiej, EZLN (1994)

W nocy z 31 grudnia 1993 na 1 stycznia 1994 roku, w chwili kiedy w życie wchodził układ NAFTA — umowa o wolnym handlu między Meksykiem, USA i Kanadą — kilkaset uzbrojonych i zamaskowanych osób wyszło z dżungli i zajęło centrum San Cristóbal de las Casas. Przejęły lokalną rozgłośnię radiową, przemianowały ją na Radio Zapata, i zaczęły czytać manifest. W tym samym radiu, godzinę po przejęciu, zagrała Międzynarodówka.

Rząd Meksyku obudził się z informacją, że ma wojnę.

To był ruch zapatystów — EZLN, Zapatystowska Armia Wyzwolenia Narodowego — Indianie z Chiapas, jednego z najbiedniejszych stanów Meksyku, latami pozbawiani ziemi, praw i podmiotowości przez kolejne rządy kolonizatorów. NAFTA była dla nich wyrokiem: nowe przepisy otwierały drogę do sprzedaży ziemi, na której żyli ich przodkowie od pokoleń. Dlatego tamtej nocy wyszli zbrojnie walczyć o swoje prawa.

Rząd wysłał na nich armię. Zapatyści wycofali się w góry. Świat zobaczył zdjęcia zamaskowanych Indian z karabinami — i zaczął czytać ich manifesty. A zapatyści mieli coś, czego większość zbrojnych powstań wcześniej nie miała: internet. Właśnie w momencie rodzącego się internetu wysyłali z jego pomocą komunikaty, deklaracje, komentarze. Dotarli do mediów na całym świecie, zanim rząd zdążył zbudować własną narrację.

„Pierwsze powstanie w historii prowadzone przez łącze telefoniczne” — pisali wtedy dziennikarze. Ale to, co zapatyści zrobili potem, jest ważniejsze niż powstanie.

Po wycofaniu się w góry — nie zrezygnowali. Nie skapitulowali. Nie stali się partią polityczną, nie wzięli mandatów, nie zasiedli przy rządowym stoliku. Zamiast tego zbudowali coś innego: autonomiczne gminy — *caracoles*, czyli ślimaki — z własnymi szkołami, szpitalami, radiem, sądami. Własną strukturą władzy opartą na jednej zasadzie: *mandar obedeciendo* — rządzić słuchając. Każdy wybrany przedstawiciel mógł być w każdej chwili odwołany

przez społeczność. Nie było dożywotności. Nie było nietykalności. Była odpowiedzialność.

Trzydzieści lat później *caracoles* nadal istnieją. Chiapas jest częścią Meksyku — ale zapatyści w swoich gminach żyją na własnych zasadach. Nie wygrali w sensie, w jakim wygrywa się w kinie. Nie obalili systemu. Nie przejęli władzy. Po prostu zbudowali obok — i trwają.

Preguntando caminamos — pytając idziemy. To ich zasada organizacyjna. Nie mamy odpowiedzi, mamy kierunek. Nie mamy programu, mamy pytanie.

Przez długi czas nie rozumiałem, jak to jest możliwe — trwać bez zwycięstwa. Dopiero gdy sam zacząłem działać, zacząłem rozumieć.

...

Zaczął się dużo wcześniej i dużo skromniej — jako uczestnik, nie organizator. Około 2010 roku, studia, pierwsze wyjazdy na demonstracje do Warszawy.

Akcja pod Pałacem Prezydenckim, ta o krzyż, była jedną z pierwszych. Dziś nie umiem już powiedzieć, co było pierwsze: demonstracja czy mem. „Gdzie jest krzyż” chodziło po internecie i chodziło po ulicy jednocześnie — i to było moje pierwsze zetknięcie z tym, że jedno przechodzi w drugie. Miałem dwadzieścia lat, pojechałem z pierwszą dziewczyną, dałem pierwszy w życiu wywiad do telewizji, pokrzyczałem i zrobiłem sobie zdjęcie z prewencją.

Drugie wspomnienie jest mocniejsze. To była kontrademonstracja wobec środowisk faszyzujących. Grupa skinów wyszła z bramy, prosto w stronę moją i mojej ówczesnej dziewczyny. Nieśli flagę ze swastyką. Policja nie zareagowała. Pomogli anarchiści z czarnego bloku.

Warszawa, miasto, które nazizm zrównał z ziemią, i ludzie niosący przez nie tę właśnie flagę. Ten obraz został mi jak powidok i przestawił głowę na zawsze.

Lata później mój aktywizm wyglądał inaczej. Nie jak dżungla Chiapas — jak lokal partyjny w Łodzi, megafon w kącie, bannery klimatyczne suszące się na podłodze.

W PPS wszystko było udokumentowane. Każde zebranie zarządu koła, każde zebranie koła, każde zebranie okręgu — protokół, lista obecności, podpisy. Znałem statut na pamięć. Musiałem — bo statut to nie było martwe prawo, to był żywy instrument sporów. Kiedy ktoś chciał coś zablokować albo przepchnąć, sięgał po statut. Nauczyłem się go więc jak narzędzia obrony.

W pandemii przenieśliśmy spotkania na call wideo. Potem wynajęliśmy lokal — małe pomieszczenie, które stało się centrum działania. Malowaliśmy w nim banery klimatyczne przed marszami. Przechowywaliśmy megafon, flagi, materiały. Zbieraliśmy odzież dla bezdomnych, karmę dla zwierząt. Robiliśmy dyżury dla mieszkańców Łodzi — na które zaglądali czasem sąsiedzi, zostawiali na rozmowę — okazało się, że to wystarczy. Że samo bycie otwartym miejscem w dzielnicy jest formą działania.

Ważną rzeczą, którą robiliśmy, był TUR — Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego. Historyczna tradycja PPS, reaktywowana przez nas — tyle że w pandemii: na Discordzie, dla działaczek i działaczy z całej Polski. Lockdown zamknął restauracje, kluby, koncerty, w pewnym momencie nawet lasy. Siedzieliśmy w domach i tęskniliśmy za kontaktem — za prawdziwym, nieprzerwanym przez tematykę pandemii kontaktem. Discord dawał coś innego niż zoom ze znajomymi: dawał rozmowę wśród swoich. Ludzie, których łączyły wartości, nie tylko okoliczności. Snuliśmy marzenia o lepszej przyszłości. Dyskutowaliśmy o metodach, narzędziach, o tym, co działa, a co nie. Sam prowadziłem dwa wykłady — jeden o katastrofie klimatycznej, drugi o lękach społecznych przez pryzmat kina science fiction. Kilkadziesiąt osób z różnych miast, w środku pandemii, na ekranie. To była wspólnota, która miała ciężar, mimo że nie miała ciała. To *działało*.

Ale był aspekt, który działał fatalnie: polityka wewnętrzna, trudne zjazdy w Warszawie, mailowy filibuster, konflikty pokoleniowe. Chciałem zmieniać świat, a zamiast tego pisałem piąty akapit odpowiedzi na wiadomość, w której ktoś kwestionował protokół z formalnego zebrania.

To jest chyba, niestety, reguła. Każdy ruch społeczny, każda organizacja, każda partia prędzej czy później pożera część swojej energii na własną

biurokrację. Tak działa skala. Tak działa formalność. Pytanie nie jest, czy to się stanie, tylko ile energii pozwolisz, żeby pożarła.

Ale biurokracja to tylko część odpowiedzi. W partii kanapowej — takiej, która nie ma realnego wpływu na politykę krajową ani zagraniczną — funkcja przestaje być narzędziem do zrobienia czegośkolwiek. Zostaje sama funkcja. Dla części osób partia jest więc jedynym miejscem, gdzie mogą być kimś: gdzie mają tytuł, zadanie, zdanie, którego ktoś wysłucha. Poza nią tego nie mają. Więc kiedy pojawia się ryzyko utraty stanowiska — nawet stanowiska, z którego nic nie wynika — bronią go tak, jakby bronili siebie. Widziałem, jak ludzie ideowi potrafią zrobić bardzo dużo, żeby utrzymać się przy władzy pozbawionej jakiejkolwiek mocy sprawczej. Znowu to samo: system wynagradza to, co go umacnia — i zmienia cię, zanim zdążysz to zauważyć.

...

Extinction Rebellion było inne i dlatego z zainteresowaniem zajrzałem do środka tego ruchu. W XR nie ma statutu, nie ma regulaminu, nie ma hierarchii — a przynajmniej żadnej, której nie można było zakwestionować. Struktura była zdecentralizowana: małe grupy powinowactwa, *affinity groups*, ośmiu do dwunastu ludzi, którzy razem planowali i razem działali. Każda grupa autonomiczna, każda odpowiadała sama za siebie pod warunkiem, że trzyma się wspólnych wartości: nieprzemoc, otwartość, solidarność.

Jeśli pełniłem funkcje, to czasowo — w ramach decyzji opartych na konsensusie. W ruchu bez formalności reprezentacja nie jest nominacją, lecz praktyką. Jesteś reprezentantem, dopóki działasz jak reprezentant.

Byłem więc przez jakiś czas łącznikiem z innymi regionami. Kiedy nie ma centrali, ktoś musi przenosić informację między miastami — kto co planuje, komu brakuje rąk, co się gdzie nie udało i dlaczego. Tej roli nikt mi nie przydzielił. Po prostu byłem osobą, która odpisuje i jeździ na spotkania. Była potrzeba — więc wchodziłem w rolę.

Na akcjach pełniłem kilkakrotnie rolę deeskalatora. Stałem między aktywistami a policją i przechodniami, a moim zadaniem było obniżać temperaturę, nie podgrzewać. Słuchać obu stron.

To jest rola, której nie widać na zdjęciach. Zdjęcia pokazują tych, którzy kleją się do asfaltu, zakuwają w kajdany, robią coś w jakiejś sprawie, nieważne, czy forma ma swoją zasadność. Po XR wiem, że performans to nie moja forma protestu.

Ale tam, gdzie mogłem pomóc, to pomagałem. Nagrywałem i montowałem relacje z wydarzeń, robiłem memy na wewnętrzne chaty, organizowaliśmy spotkania z ludźmi nauki. Ruch mógł być żywy dlatego, że był nieformalny — i był nietrwały z tego samego powodu. Kiedy nie ma struktury, nie ma też ciągłości.

...

W pewnym momencie doświadczyłem zjawiska, które teoria ruchów społecznych opisuje jako *activist burnout* — wypalenie aktywistyczne. W Polsce blisko czterdzieści procent aktywistek i aktywistów organizacji pozarządowych i nieformalnych ruchów deklaruje, że czuje się wypalona często lub bardzo często. Czterdzieści procent z wrażeniem, że wali głową w mur.

Wypalenie aktywistyczne różni się od zawodowego jednym kluczowym wymiarem: jesteś wypalony nie z pracy, ale z wartości. Nie z obowiązków — z przekonań. Możesz zmienić pracę. Przekonań zmienić nie chcesz. Więc zostajesz — coraz bardziej zmęczony, coraz mniej skuteczny, coraz bardziej cyniczny wobec narzędzi, które przestają działać — ale przekonany, że odejście byłoby zdradą.

Lęk klimatyczny to diagnozowane zjawisko. Chroniczny niepokój wywołany świadomością katastrofy, która jest pewna, tylko nie wiadomo jak blisko. Im więcej wiesz, tym bardziej boli. Im bliżej danych, raportów, prognoz — tym trudniej oddzielić to od codziennego funkcjonowania. Mój lęk klimatyczny to nie panika. To zarządzanie kryzysowe bez narzędzi zarządzania.

Extinction Rebellion wiedziało o tym problemie od początku. Ruch od samego startu budował coś, co nazywał kulturą regeneratywną — *regenerative culture*. Nie jako dodatek do aktywizmu, ale jako jego fundament. Zasada prosta: ruch, który wypala swoich ludzi, nie przetrwa. Po każdej akcji były debriefy — nie o logistyce, ale o emocjach. Jak się czujesz? Czego potrzebujesz? Jak mogę cię wesprzeć? Kółka żałoby, kółka

wdzięczności, przestrzeń na przyznanie, że się boisz, że jesteś zmęczony, że nie wiesz, po co to robisz. To brzmi miękko — i jest miękko — ale badania nad ruchami społecznymi potwierdzają, co praktycy wiedzieli intuicyjnie: trwałość ruchu zależy od trwałości ludzi w nim. Teoria zmiany musi uwzględniać psychologię zmiany.

Jonathan Shay, amerykański psychiatra, przez lata leczył weteranów Wietnamu i zauważył, że jego pacjenci mówili językiem Homera, nie znając Homera. Opisywali te same rzeczy — ciężar krzywdzenia innych, wstyd, poczucie bycia poza prawem ludzkim i boskim. Ta rana nie jest zwykłym stresem pourazowym — to uraz moralny. Bierze się stąd, że ktoś, komu ufałeś i kto miał prawo wydawać ci rozkazy, zdradził to, co uważałeś za słuszne.

Nie porównuję się do weterana wojennego i byłoby nieprzystojnie, gdybym to robił. Ale definicję urazu moralnego rozpoznaję. Rozpoznaję ją w tym, co czułem, patrząc na człowieka, który miał być twarzą odnowy i mówił, jakby sam sobie nie wierzył. W koalicji, na którą nie miałem wpływu. W platformie, która zarabiała na moim gniewie, kiedy ja nie zarabiałem nic.

I rozpoznaję w kótkach żałoby XR to, co Shay uważa za warunek gojenia: żeby rana zaczęła się zamykać, historia musi zostać opowiedziana grupie, która słucha. Grecy wiedzieli to na tyle dobrze, że zbudowali wokół tego cały gatunek. My musieliśmy odkryć to jeszcze raz — na Discordzie, w środku pandemii.

Działaliśmy w obu jednocześnie — i kontrast był natychmiastowy. PPS miała statut, protokoły, historię. Miała też kulturę milczenia o kosztach osobistych. Wypalenie było indywidualną słabością, nie problemem organizacji. XR powiedziało coś innego: jeśli ruch cię niszczy, ruch robi coś złego. To element strategii działania.

...

Zryw społeczny jest możliwy. Aktywista jest wyłącznie katalizatorem takich zrywów lub organizatorem wspierającym realizację jego celów.

Nigdy nie zapomnę opisanego wcześniej dnia, gdy Łódź zerwała się w proteście przeciwko ograniczeniu dostępu do procedury aborcji. Tamtego dnia sala była pełna, a ludzie szli ulicą, by demonstrować autentyczny gniew.

Zryw, nie spektakl dla kamer.

Ale jak zmierzyć wpływ demonstracji, która nie osiągnęła bezpośredniego celu? Wiele osób tamtego dnia coś w sobie zmieniło — poczucie, że można wyjść na ulicę, że nie jest się samemu w tym życiu, że ciało w przestrzeni publicznej ma wagę. Może to kietkuje w sposób, którego nie da się śledzić w sondażach. Może zapatyści mają rację: nie chodzi o wygraną, chodzi o trwanie.

Zapatyści wciąż są w Chiapas. Trzydzieści lat po powstaniu — nadal budują swoje gminy, nadal pytają zamiast ogłaszać odpowiedzi. Nie wygrali w sensie, w jakim wygrywa się w kinie. Nie obalili NAFTA. Nie zostali prezydentem Meksyku. Ale są.

Może to jest jedyna forma oporu, która nie gnije od środka: ta, która nie pretenduje do wygrania, tylko do trwania. Która buduje lokal zamiast zdobywać władzę. Która robi wykłady na Discordzie zamiast siać propagandę nienawiści. Która po akcji pyta: jak się czujesz, czego potrzebujesz.

Preguntando caminamos. Pytając idziemy.

...

Nie wierzę w zbawców. Nie wierzę w system, który naprawi się sam, bo ludzie wreszcie zagłosują mądrze — cały tamten rozdział o zasięgach, o algorytmie, o tym, jak wygląda uwaga od środka, powinien być to ze mnie wybić. Ale nie dają mi spokoju pytania: jaka alternatywa?

Ateńczycy nie głosowali na urzędników. Losowali ich. Wybory uważali za mechanizm arystokratyczny — coś, co premiuje tych, co umieją mówić, przypodobać się, wydać pieniądze. Losowanie premiowało nikogo. Był to sposób, żeby polityka nie stała się zawodem, tylko obowiązkiem, jak ława przysięgłych — coś, co ci się przydarza, a nie coś, o co się zabiegasz.

Dziś ten pomysł wraca. W Irlandii dwa wylosowane zgromadzenia obywatelskie — bez kampanii, bez zasięgów, bez podziału na plemiona — usiadły osobno nad małżeństwami jednoptciowymi i nad aborcją, i doszły do wniosków, których wybierana polityka nie potrafiła wypowiedzieć przez dekady. Oba referenda, które z tego wynikły, przeszły. W Gdańsku prezydent zgodził się, że rekomendacje wylosowanych mieszkańców będą wiążące, jeśli poprze je osiemdziesiąt procent. Badania nad deliberacją pokazują coś, czego nie spodziewałby się nikt, kto spędził ze mną czas w rozdziale o Instagramie: ludzie się depolaryzują, kiedy siedzą naprzeciwko siebie dłużej niż jeden wieczór i muszą słuchać, a nie scrollować. Poparcie dla najbardziej skrajnych stanowisk topnieje, bo zniknął algorytm, który zarabia na skrajnych emocjach.

Chodzi o to, żeby zbudować strukturę, w której bycie lepszym człowiekiem jest domyślne, a nie heroiczne.

We Francji wylosowano stu pięćdziesięciu obywateli i kazano im wymyślić politykę klimatyczną. Prezydent obiecał, że przekaże ich propozycje dalej „bez filtra”. Ze stu czterdziestu dziewięciu rekomendacji bez zmian przeszło dziesięć procent. Konwencjoniści wystawili mu za to ocenę trzy i trzy dziesiąte na dziesięć. Jedna z uczestniczek powiedziała, że teraz czyta projekty ustaw przy niedzielnym śniadaniu. Została wójtową swojej gminy.

Nie wiem, czy losowanie do Sejmu albo Senatu kiedykolwiek się wydarzy. Wiem, że każdy parlament, który miałby to wprowadzić, musiałby zagłosować za rozmyciem własnej władzy. Wiem, że kto układa pytania dla wylosowanych, ten i tak trzyma w ręku odpowiedź. Ale mimo że nie znam drogi, to czuję, że da się zaprojektować pokój, w którym ludzie z przeciwnych stron siebie słuchają.

Moja ukochana ujęła to niedawno w jednym zdaniu, które od tamtej pory noszę w głowie: odpowiedzią na polaryzację jest komunikacja i rozmowa. Brzmi niewinnie. Jest głęboko polityczne — bo komunikacja jest polityczna.

Kiedy układam to sobie w głowie, wychodzi coś nieoczekiwanie optymistycznego: presja działa, tylko nigdy nie wygląda tak spektakularnie jak w opowieściach snutych przy ognisku, w literaturze, w kinie.

Nie ma momentu, w którym Gwiazda Śmierci wybucha i napisy końcowe zamykają sprawę. Jest EA, które po tygodniu awantury na Reddicie ścina koszt odblokowania bohaterów o trzy czwarte, a potem kasuje mikrotransakcje. Jest Belgia, która uznaje lootboxy za hazard. Są regulacje unijne, przez które ja — marketer — nie mogę zrobić rzeczy, którą technicznie umiem zrobić. Jest rumuński Trybunał Konstytucyjny, który unieważnia wybory kupione na TikToku. Są dwa irlandzkie referenda, na które przez dekady nie odważył się żaden polityk, dopóki nie usiedli nad tym wylosowani ludzie. Są zapatyści, trzydzieści lat później, wciąż w swoich gminach.

Żadne z tego z osobna nie jest zwycięstwem. Wszystkie razem są dowodem, że system nie jest betonem. Jest czymś, co ustępuje powoli, w miejscach, w których ktoś naciskał wystarczająco długo i wystarczająco wielu naraz.

Problem polega na tym, że tego nie widać w czasie rzeczywistym. Nikt nie dostaje powiadomienia, że jego post, jego rozmowa albo jego jeden dzień na ulicy przechylił coś o milimetr. Satysfakcja, jeśli w ogóle przychodzi, przychodzi po latach — i zwykle nie da się jej przypisać do konkretnej przyczyny.

Swojego wpływu do dziś nie umiem zmierzyć. Ale wiem, jak to działa w drugą stronę — w moją stronę. Nauczyciel historii z liceum, który kazał nam kwestionować status quo, nie wie, że siedzę dziś i piszę o tym książkę. Promotorka, przez którą obejrzałem *Elizjum* kolejny raz, nie wie, że dała mi pytanie, które zadaję do dziś. Koleżanka z pracy, która rzuciła jedno zdanie o neuroatypowości, nie wie, jak bardzo zmieniła mi obraz samego siebie. Koledzy z TeamSpeaka. Ludzie z lokalu partyjnego w Łodzi. Ktoś, kogo imienia nie pamiętam, z nocnej rozmowy na podłodze w kuchni.

Nikt z nich nie prowadził statystyk. A wpływ, którego nie da się zmierzyć, to nie to samo co wpływ, którego nie ma.

...

Jest wtorek, późny wieczór — pora, o której zaczynam żyć. Gram. Na ekranie galaktyka, której nie ma: przemytnicy, kantyny, cudze długi. W pewnym momencie pojawia się on — pirat o pomarszczonej twarzy i głosie, który

brzmi, jakby właśnie wymyślił żart i sam jeszcze nie wie, jak się skończy. Podrzuca monetę. Łapie ją, nie patrząc. Podrzuca znowu.

W tle, z drugiego urządzenia, leci głos mojego ojca. Wrócił po latach do radia, ma swoją audycję co wtorek. Ten sam człowiek, który kiedyś podłączył mi pierwszy modem, opowiedział o zapatystach, puszczał płyty, których nie było w żadnym sklepie. Punk, zanim ja w ogóle wiedziałem, co to słowo znaczy. Tego wieczoru mówi o tym, jak z wiekiem gubimy coś, co dziecko ma za darmo. Otwartość. Obecność. Zdolność cieszenia się małą chwilą. Mówi, że dorośli chodzą po świecie tak, jakby pies ich ugryzł. Spięci. Wiecznie gotowi do ciosu, którego nikt nie zamierza zadać.

Jest dzień po Dniu Dziecka.

Patrzę na pirata i jego monetę i myślę, że ten gest to dokładne przeciwieństwo człowieka, którego opisuje ojciec.

Bo moneta w jego dłoni nie służy do podejmowania decyzji. Nie sprawdza losu. Ona mówi: mam czas. Nie spieszę się. Jestem na tyle u siebie, że mogę się bawić, kiedy inni się spinają. To jest luz w czystej postaci — luz jako poza, ale poza, która nie jest kłamstwem. Pod nią nie ma pustki. Pod nią jest ktoś, kogo żaden system nigdy nie połączył.

To jest jego sekret. On jest *wewnątrz* każdego konfliktu — handluje z każdą stroną, zdradza każdą po kolei — i nie należy do żadnej. Republika, separatysty, Imperium, Ruch Oporu: dla niego to klienci, nie tożsamości. Przechodzi przez wszystkie fronty i z żadnym się nie zrasta. Pytanie, które noszę od pierwszej strony — czy można być w systemie, nie dając się przez niego zmienić — on rozwiązuje jednym wzruszeniem ramion. Można. Wystarczy nigdy niczemu nie pozwolić, żeby cię posiadało.

Maska, która jest grą. Maska, pod którą ktoś jest.

...

A teraz druga maska.

Chodzi po ciasnym mieszkaniu, recytuje swoje litanie, gardzi wszystkimi i sobą, jest przekonany, że jako jedyny widzi, jak bardzo świat jest beznadziejny. Bohater *Dnia świra*. On też nosi maskę — dystansu, ironii,

wiecznego cudzystowu wokół każdego słowa. Tylko że jego maska to nie zabawka. To zbroja. I pod nią nie ma luzu. Pod nią jest człowiek tak przerażony tym, że mógłby się wystawić — okazać się szczery, wrażliwy, na coś naprawdę liczyć — że woli zawczasu ogłosić, że nic go nie obchodzi.

Kultura, w której żyję, masowo wybiera tę drugą maskę. Ironię jako stan domyślny. Sarkazm jako jedyny dopuszczalny rejestr. Bo szczerość jest ryzykowna — kto powie coś wprost, ten się odstania, a kto się odstania, w tego można uderzyć. Więc lepiej uderzyć pierwszemu. W siebie też. Człowiek zatruty ironią nie umie już powiedzieć niczego na serio. Nie sformułuje poglądu, marzenia, zachwyty, nie przyzna się do nadziei bez grubej warstwy kpiny, która ma go ochronić, gdyby ktoś się roześmiał. Złośliwość staje się protezą inteligencji — błyskotliwością dla tych, którym do błyskotliwości brakuje odwagi, nie rozumu.

U mnie działało. Gniew zawsze działa — to najtańsze paliwo, jakie istnieje, i platforma uwielbia, kiedy nim palisz. Im ostrzej, tym dalej zasięg. Karmiłem algorytm wściekłością, a on odsyłał mi z powrotem dowody, że mam rację. Wściekłością, z którą nie umiałem sobie poradzić w inny sposób, więc ubrałem ją w słuszność i wystawiłem na widok. To było wyczerpujące. Życie w stanie ciągłej gotowości, w którym każda wiadomość to potencjalne zagrożenie, każdy człowiek po drugiej stronie to wróg, a spokój to zdrada sprawy — tak nie da się żyć długo. Pytanie nie brzmi, czy to słuszne. Pytanie brzmi: jak długo człowiek wytrzyma w tym napięciu, zanim się wypali albo skamienieje?

...

Mój ojciec mówi dziś w radiu o czymś jeszcze. O tym, że dorosły traci zdolność zachwyty — a krytyk myli się, sądząc, że zachwyty to naiwność. Jest odwrotnie. Łatwo jest gardzić. Trudno jest docenić, nie tracąc przy tym wzroku. Prawdziwa krytyka to nie wytykanie, gdzie świat jest beznadziejny — to ćwiczenie się w widzeniu, gdzie mimo wszystko jest dobry. Pierwsze umie każdy nadąsany nastolatek. Drugie wymaga odwagi, której nadąsanie nigdy nie ma.

Wciąż czuję gniew. Patrzę na to, co robimy planecie, i nie udaję, że jest dobrze. Ale to nie jest już gniew, z którym pójdę na barykady. Nauczyłem się

czegoś, co podpowiada mi serial, który jest dla tej książki kompasem: można spalić całe swoje życie dla sprawy, której się nie doczeka — tak jak Luthen — i to jest piękne, i to jest straszne. Ale można też nie dać się spalić. Mój lęk o klimat nie jest paniką; jest zarządzaniem kryzysowym. A kryzysem nie zarządza się z barykady, w stanie wiecznego wrzenia. Zarządza się nim na spokojnie, długo, bez resentymentu, który wypaliłby paliwo w pierwszy rok.

I nie jest tak, że swój gniew opanowałem. We mnie też siedzi coś, co chce upraszczać: zamknąć ludzi w szufladach kategorii, przypisać hurtowo winę, poczuć tę czystą ulgę, którą daje pogarda. Gniew na zło jest w porządku — bez niego nie ruszyłbym się z miejsca. Gorzej, kiedy zaczyna generalizować, bo stamtąd prowadzi już tylko jedna droga i wszyscy znamy ją z podręczników: od uogólnienia do pogromu, a potem do wojny, w której nikt nie pamięta, kto naprawdę zaczął i dlaczego. Pilnowanie tej granicy w sobie jest robotą na co dzień, nie decyzją podjętą raz.

Spokój nas uratuje. Nie obojętność — spokój. Stoicy nazywali to *apatheia*. Dziś słyszymy w tym „apatię”, czyli coś prawie przeciwnego — a chodziło o wolność od tego, co tobą miota, nie o to, żeby nic cię nie obchodziło. Różnica jest taka jak między dwiema maskami: jedna chowa pustkę, druga ośłania kogoś, kto wciąż umie się cieszyć podrzucaną monetą.

Wracam do ekranu. Pirat łapie monetę, nie patrząc, i uśmiecha się do nikogo. Głos ojca cichnie — audycja się kończy. Jest noc dzień po Dniu Dziecka, a ja myślę o tym, ilu dorosłych chodzi po świecie tak, jakby pies ich ugryzł.

...

A za ścianą śpi pies, którego świat ugryzł naprawdę — porzucił, zostawił w schronisku, dał wszystkie powody do tego, żeby już nigdy nikomu nie zaufać. I który mimo to budzi się każdego ranka bez śladu urazy, gotowy kochać kawę, spacer i mnie.

Może on wie coś, czego my, z całą naszą ironią, oduczyliśmy się dawno temu.

PIES

„Masz władzę nad swoim umysłem — nie nad zewnętrznymi zdarzeniami. Uświadom to sobie a znajdziesz siłę.” — Marek Aureliusz, Rozmyślania (parafraza)

Jake ma to samo co ja.

Podchodzi do słupa, wacha przez minutę, potem do następnego, potem wraca do pierwszego. Ten sam słup co wczoraj. Ten sam słup co od dwóch lat. Ale zapachy są nowe — to forma komunikacji. To jest psie medium społecznościowe: kto tu był, kiedy, w jakim nastroju, co jadł. Jake czyta wiadomości. Zostawia odpowiedź. Idzie dalej. Wraca później sprawdzić, czy ktoś odpisał.

Znam imiona wielu psów na naszej trasie, lecz nie znam imion ich właścicieli. Na spacerze właściciele są tłem dla psiej przyjemności. Spotykamy się, gadamy przez chwilę — i żaden z nas nie wie, jak ma na imię. Wspólnota bez formalności. Łączy nas nie algorytm, lecz ten sam chodnik o tej samej porze.

Jake idzie do przodu i ciągnie. Muszę iść.

...

Masza — husky, mój pierwszy pies, moje dziecięce wszystko. Bleki — czarna kotka, osiemnaście lat z naszą rodziną. Członkinie rodziny, które wspominam z czułością.

Kilka lat temu po przeprowadzce doskwierała mi samotność. Miałem więc zarówno potrzebę, jak i warunki dobre do adopcji małego psa. Napisałem mail do schroniska w sprawie konkretnego zwierzęcia. Odpisali, że pies ma problemy behawioralne i zaproponowali innego. Był rok 2022, pandemia jeszcze się nie skończyła, przeglądy psów nie istniały — poznałem więc tylko tego jednego psa. Gdy mnie ujrzał — złapał za nogę i od razu się do siebie przywiązałem.

Zabrałem go do domu. Kilka tygodni później dowiedziałem się, że znaleziono go przywiązanego przy trasie S8 pod Łodzią. Porzucony. Na oko dwa lata —

dopiero co skończył szczenięce dzieciństwo, jeszcze nie dorosły. Przez pierwsze dni łapał miskę w pysk i zanosił na legowisko, jakby wiedział, że jedzenie może zniknąć. Lęk separacyjny.

Rozumiem go lepiej, niż bym chciał. Sam byłem zamkniętym dzieckiem — otwierałem się powoli. W przedszkolu płakałem za mamą. To ona mnie wychowała: nie pracowała zawodowo, była w domu, obecna codziennie i bez przerwy. Może właśnie dlatego kilka godzin bez niej wydawało mi się nie do zniesienia — nie miałem z czym tego porównać. Mam wspomnienie sprzed lat: obce miasto, fontanna, odbiegłem parę kroków od rodziców, a obca kobieta rzuciła się na mnie z krzykiem „ZABIORĘ CIĘ”. Potem wypadały mi włosy. Dziecko nie umie nazwać, że boi się porzucenia — po prostu boi się, że ktoś, kto wyszedł, nie wróci. Jake w pierwszych tygodniach skomlał pod drzwiami z dokładnie tego samego powodu. Musiał się nauczyć, tak jak ja kiedyś, że wychodzę i wracam.

Ale w kilka miesięcy dotarliśmy się, dopasowaliśmy rytmy. Trzy spacery dziennie. Rano, po południu, wieczorem. Dzień ma strukturę.

Jake ma lśniąca sierść i czerwone szelki. Zaczepiają go dzieci, ludzie w kawiarni pytają o jego historię. Towarzyski, przyjazny pies. Ma też swoje lęki i traumy, nad którymi wciąż pracujemy.

...

Kocham spacerować z moim psem. Zanurzam się wtedy w ulicę, w parki, skupiam na drzewach, na wpływie pory roku na wygląd ulic.

Kiedyś spacerować mi aplikacja Pokémon GO — dość innowacyjna pętla dopaminowa oparta o łapanie wirtualnych stworzeń pojawiających się na mapie Łodzi. Ciągnęła mnie w boczne uliczki, których bym nie odwiedził. Ale było w tym coś, co identyfikuję jako zagrożenie — uzależnienie, które trzymało mnie zbyt długo przy ekranie.

...

Łódź ma piękną historię oporu, o której się za mało mówi. Miasto powstało z czystej kalkulacji zysku — na początku XIX wieku władze Królestwa Polskiego, wtedy pod rosyjskim zaborem, zdecydowały zrobić z niego centrum przemysłu włókienniczego. Fabrykanci jak Scheibler, Poznański,

Geyer zbili fortuny na bawełnie. Robotnicy pracowali po kilkanaście godzin dziennie za grosze.

W czerwcu 1905 roku, na ulicach, którymi dziś chodzę z Jakem, stanęły barykady. Trzy dni walki, ponad dwustu zabitych, tysiąc rannych — stłumione przez carskie wojsko. Robotnicy żądali ośmiogodzinnego dnia pracy, płatnych urlopów, ubezpieczenia od wypadków, bezpłatnej opieki zdrowotnej. Na czele stanęli działacze PPS. To był pierwszy zbrojny zryw robotniczy w całym Imperium Rosyjskim.

Ten sam mechanizm działa dziś, tylko przeniesiony geograficznie. Kraje rozwinięte przeniosły fabryki tam, gdzie prawa pracownicze nic nie znaczą — do Bangladeszu, do Chin, do sweatshopów, których nie widzimy, bo są poza zasięgiem naszego wzroku, tak jak kiedyś łódzkie fabryki były poza zasięgiem wzroku Petersburga.

Kocham te czerwone cegły. Kocham to miasto za to, że nigdy nie przestało się bić.

Teraz, spacerując, zwracam szczególną uwagę na wygląd otaczającej nas rzeczywistości. Łódź jest miastem murali — są na Piotrkowskiej, na blokach, na bocznych uliczkach. Ale jest też druga warstwa: wulgarne napisy polityczne i stadionowe, często widoczne od lat, bo nikt ich nie ruszył. Na trasie dzieci z domu do szkoły symbole neonazistowskie, obsceniczne i wulgarne. Zaakceptowaliśmy to. Stały się tłem — przestały być widoczne.

Badania nad planowaniem przestrzennym mówią coś prostego i brutalnego: wygląd otoczenia ma bezpośredni wpływ na poczucie bezpieczeństwa, na więzi sąsiedzkie, na skłonność do aktywności obywatelskiej. Nie tylko dostępność usług — lecz to, czy ściany są czyste, czy jest zieleń, czy jest ławka, na której można usiąść. Otoczenie, które wygląda na zaniedbane, komunikuje mieszkańcom: nikt tu o nic nie dba, ty też nie musisz. A to nie jest polityka wysokiego szczebla — to jest watek i puszka farby. Brakuje jednak kogoś, kto powie, że to jest zadanie samorządu i rady osiedla, że to jest priorytet, że zasługujemy na czyste ściany.

Jake wącha mur pod napisem „Jebać PIS”, tuż obok „JUDE RTS”. Jake dopisuje swoją wiadomość. Idziemy dalej.

Polityka może być w Sejmie, lecz życie toczy się przy tym murze.

...

Ktoś mi bliski niedawno próbował mnie przekonać, że źródłem zepsucia jest własność indywidualna — czegokolwiek, w tym ziemi, zwierząt, przedmiotów. Od momentu, gdy przestaliśmy traktować otaczającą nas przestrzeń jako wspólną, narodziły się konflikty, wojny, chciwość. Przypomina mi to myślicieli, których czytałem za młodu: Tołstoj, Kropotkin. Powrót do natury.

W jednym z moich ulubionych filmów, *Into the Wild*, pochodzący z zamożnej rodziny banan postanawia się zbuntować przeciwko światu — pali swoje pieniądze i dokumenty, po czym wyzbyty tożsamości rusza autostopem na Alaskę.

Finalnie dość szybko umiera w dziczy. Bo od społeczeństwa nie da się uciec. Musimy się dogadać.

Faktycznie oddalamy się od siebie. Nie znamy dobrze swoich sąsiadów, samotni w wysokich blokach pełnych ludzi.

Dobrym przykładem jest wychowywanie dzieci. W obecnym modelu skupionym na jednostce „rodzina” zatraciliśmy wspólnotowość. Dawniej dzieci wychowywane były przez mieszkańców tej samej jaskini, wsi, miasta. Dzieci miały wiele wujków, cioć, babć, inne dzieci do zabawy. Dziś tę funkcję spełnia instytucja szkoły, ale dzieci traktowane są jak własność rodziców, którzy często są skazani na samotne wychowanie — wsparcie babci i dziadka nie jest takie oczywiste.

Nie wiem, czy powrót do natury jest odpowiedzią. Wiem za to, co dał mi balkon. Przez lata rósł na nim krzew, o którym byłem przekonany, że to berberys. Dopiero gdy zgłębiłem temat i zapytałem kogoś, kto się zna, okazało się, że to agrest. Myliłem się latami. Ale gdy już wiedziałem, co to jest i jak o to zadbać — zaczął rosnąć pięknie.

Tyle wystarczy: wiedzieć, co się ma pod opieką, i zaopiekować się tym. Balkon może być pusty albo pełen kwiatów — to wybór. Z Ziemią jest tak samo, tylko na większą skalę. A my w tej chwili traktujemy ją nie jak ogród, o

który się dba, lecz jak niekończące się złoża surowców, z którego można tylko brać.

Na jednym ze spotkań Extinction Rebellion rozmawiałem z aktywistą, który wodą zajmował się zawodowo — hydrologiem prowadzącym blog o jej roli w ekosystemie. Zapytałem go wprost: czy wiemy, ile jest wody głębinowej zasilającej łódzkie krany? Na ile nam jeszcze starczy?

Odpowiedział, że tego się nie da zmierzyć. Że może jej zabraknąć za sto lat albo za dziesięć.

To było siedem lat temu.

Książkę kończę redagować w warunkach rekordowych upałów i suszy hydrologicznej. Wisła w Warszawie pokazała najniższy stan w historii pomiarów, a anomalie w zachodniej części Morza Śródziemnego sięgały sześciu stopni powyżej normy. Cyrkulacja nad Europą się zmienia, wyże blokujące stoją nad kontynentem tygodniami, lasy płoną.

Łódź jest miastem bez dużej rzeki. Łódka i Jasień płyną pod asfaltem, a wodę bierzemy niemal w całości z ujęć głębinowych — czterdziestu ośmiu studni, z których część sięga dziewięciuset metrów. Ze Zbiornika Sulejowskiego Łódź przestała czerpać w 2004 roku. Z Pilicy zostaje niewielka domieszka. Po suszy hydrologicznej przychodzi hydrogeologiczna — moment, w którym deficyt schodzi do warstw wodonośnych, tych samych, z których czerpiemy wodę pitną. Warstwy odbudowują się latami. Wrześniowy deszczyk nawilży glebę i da paliwo populistom w sieci do cynicznych żartów z „płonącej planety”, ale nie uzupełni tego, co ubyło pod ziemią. Do tego potrzeba wilgotnej zimy ze śniegiem, który topnieje powoli i wsiąka, zamiast spływać ulewą po spieczonej ziemi.

Wciąż jednak mówi się o klimacie językiem powodzi — językiem ludzi mieszkających na terenach zalewowych. Problem kogoś innego, gdzieś indziej — przynajmniej z mojej perspektywy. A susza dotyka wszystkich. Elektrownie potrzebują wody do chłodzenia, więc dotyka rachunków za prąd. Rolnictwo notuje mniejsze zbiory, więc dotyka cen w sklepie. Miasto bez rzeki nagrzewa się szybciej, więc dotyka tego, jak się śpi w bloku w tropikalne noce.

Hydrolog nie umiał powiedzieć, ile nam zostało. Ale to akurat nie jest pytanie, na które trzeba znać odpowiedź. Wystarczy zdecydować, czy traktujemy retencję, betonozę i zużycie wody jak infrastrukturę krytyczną, czy jak temat na jeden upalny weekend w roku.

...

Wiem, jak to wygląda. Przejście od polityki do samodoskonalenia to najchętniej kupowany produkt systemu — łatwiej sprzedać ci suplementy i medytację niż zmianę struktury, która cię niszczy. Boję się, że to, co teraz piszę, jest dokładnie tym ruchem. Dobrej odpowiedzi na to nie mam. Zaczynam więc od jedynej rzeczy, nad którą mam bezpośrednią kontrolę.

Im mocniej się ukorzeniam, tym lepiej dbam o swoje zdrowie. Pogorszenie stanu zdrowia sprzed kilku lat — w tym stłuszczenie wątroby, niepokojąca krzywa cukrowa — były dla mnie i dla mojego organizmu żółtą kartką.

Jest w tym ironia, której długo nie chciałem zobaczyć. Zawodowo zajmuję się marketingiem dla marek zdrowia. Całe dni myślę o tym, jak dotrzeć do pacjenta z rzetelną informacją, jak przebić się przez szum, przez szamanów, przez algorytm. Wieczorami wracałem do domu i zamawiałem jedzenie, którego kaloryczności wołałem nie znać. Znałem ścieżkę pacjenta na pamięć. Swojej nie zaczynałem latami.

Zacząłem patrzeć na makroskładniki potraw, które jem. Dziś w sklepie biorę produkt do ręki i widzę go oczami makro — ile ma białka, ile tłuszczu, czym naprawdę jest. Rzuciłem alkohol i chipsy — źródło szkodliwej nagrody i metody radzenia sobie doraźnie ze stresem. Przemysł spożywczy gra zresztą na tym samym systemie dopaminowym co platformy: ultraprzetworzone jedzenie projektuje się pod precyzyjnie wyliczoną proporcję cukru, soli i tłuszczu, która maksymalizuje pożądanie i wycisza sygnał sytości. Nie tylko feed jest zaprojektowany tak, żebyś nie mógł przestać.

Te chipsy mają swoją historię. Mama przynosiła mi je regularnie ze sklepu, bo o nie prosiłem — kupowała je z miłości, bo dziecko się cieszy. Trzydzieści lat później zjadałem nimi stres i przez długi czas nie łączyłem tych dwóch rzeczy. Nawyki z dzieciństwa zostają nawykami dorosłości, dopóki ich nie zauważymy i nie weźmiemy pod kontrolę.

Nie ma w tym niczyjej winy. Nikt nie musi wiedzieć wszystkiego o żywieniu ani chodzić regularnie na siłownię — nikt nie musi być dobry we wszystkim. Moja mama kupowała chipsy, bo kochała, nie bo nie doczytała.

Wprowadziłem wąskie okno żywieniowe — intermittent fasting, czyli jem w godzinach 15–23 (chodzę spać około 2). W trzy miesiące — schudłem piętnaście kilogramów.

Wraz z efektami zmieniającego się ciała rósł apetyt na więcej. Z kolegą z pracy poszliśmy na siłownię, kupiłem karnet i tydzień później zacząłem trening pod okiem trenera personalnego, który pilnuje moich postępów.

Po zmianach zrobiłem badania kontrolne. Wszystko w normie. Wątroba — w normie. Cukier — w normie. Insulina spadła ponad trzykrotnie. Osiem miesięcy wcześniej byłem w drodze do cukrzycy. Osiem miesięcy później nie było po niej śladu. Żadna z rzeczy, o które walczyłem przez lata na ulicy i w internecie, nie dała mi wyniku tak mierzalnego, tak jednoznacznego, tak mojego.

Potem przyszła siłownia właściwa: cykle z trenerem, ciężary rosnące co tydzień o najmniejszy możliwy skok. Zaczynałem od uczenia się, jak w ogóle trzymać się sztangi. Wiosną 2026 zszedłem do siedemdziesięciu pięciu kilogramów — a obwód ramienia w tym samym czasie urósł. Tłuszcz w dół, mięsień w górę, jednocześnie. Zegarek, który noszę od lat, opowiada tę samą historię czterema wykresami naraz: kroki wzrosły czterokrotnie od dna pandemii, tętno spoczynkowe spadło o dziewięć uderzeń, serce w marszu pracuje wolniej przy tym samym zadaniu. Cztery niezależne linie. Wszystkie mówią to samo.

Sama wola nie wystarczyła — nigdy nie wystarcza. Trend odwróciło dopiero co innego: zmiana struktury. Okno żywieniowe zamiast postanowienia. Karnet zamiast planu. Trener zamiast motywacji. Cotygodniowy pomiar zamiast nadziei. Pies, który podniósł moją bazę kroków w 2022 i trzymał ją latami, nie zrobił tego siłą mojego charakteru — zrobił to tym, że chodzi siku codziennie, niezależnie od mojego nastroju.

Trwałe zmiany nie brały się z siły woli. Brały się z projektowania warunków, w których dobry wynik staje się prawie nieunikniony. System okazał się odporniejszy niż motywacja.

I w efekcie szybko przychodzi satysfakcja z *wpływu* na własne ciało. Nabieram pewności siebie w sposób, którego się nie spodziewałem. I jest jeszcze coś — czuję się bardziej gotowy na sytuacje, w których trzeba działać, w których liczy się postawa. Może to jest właśnie zarządzanie kryzysowe bez paniki.

Całe życie próbowałem zmieniać systemy i unikałem wpływu na własne ciało. Jakbym myślał, że moje ciało nie jest terenem działania. Że dbanie o siebie to odwracanie uwagi od tego, co ważne. Tymczasem siedziałem przy biurku i bolały mnie plecy i byłem zmęczony i tłumaczyłem to ciężarem świadomości — a nie tym, że źle jadłem i za mało spałem.

Progres jest mój, niezapośredniczony przez algorytm. Kręgosłup już nie boli, jestem silniejszy, czuję się pewnie. Nasze ciała to jedyne systemy, nad którymi mamy bezpośrednią kontrolę. Marek Aureliusz pisał to samo o umyśle: masz władzę nad nim, nie nad zdarzeniami. Ciało jest drugą taką rzeczą — i akurat ją ignorowałem najdłużej. Dieta i progres siłowy to również *praxis*, to taktyka walki.

A gdy zrozumiałem, że nie chcę mieć dzieci — zrobiłem wazektomię. To wybór kontroli nad własnym ciałem, własnym losem i nad decyzją o założeniu rodziny (lub nie). Że pomimo presji kultury, matematyki demograficznej, pytań rodziny — dojrzałem do odrzucenia wzorców i życia, które po prostu chcę odrzucić. Dla siebie, bez wpływu na wolność samostanowienia innych.

Nie piszę tego, żeby wystawić ci receptę na siłownię i intermittent fasting. To zadziałało u mnie, lecz twoje rozwiązanie może wyglądać inaczej. Cisza, sztuka, wspólnota, jakiś rodzaj działania. Ważne jest nie co, tylko że — że odkładasz skrollowanie, wyłączasz feed, z którego nic nie zapamiętasz, i pozwalasz sobie usłyszeć siebie i to, czego naprawdę potrzebujesz.

...

Zdrowie to podstawa, a mimo to badamy się rzadko. Większość Polaków nie zrobiła nigdy żadnego badania profilaktycznego — co trzeci nie wie nawet, że wiele z nich jest darmowych. Boimy się raka i jednocześnie nie robimy cytologii, mammografii, kolonoskopii. Wiem, jak to się kończy — byłem już na kilku pogrzebach. Bliskie mi osoby chorowały albo wciąż chorują.

Priorytetem debaty publicznej powinno być zdrowie: profilaktyka, świadomość, dostęp. Nie dlatego, że to chwytliwy temat. Dlatego, że jest podstawą wszystkiego innego.

Prawdziwy konflikt w tej polaryzacji nie toczy się między lewicą a prawicą. Toczy się między dołem a górą — jakkolwiek tę górę zdefiniować: elity, miliarderzy, jeden procent. Góra chce, żebyśmy patrzyli w lewo i w prawo, na siebie nawzajem. Boi się nas. Nie chce, żebyśmy podnieśli głowę i spojrzeli jej na ręce. Kontrola przez polaryzację.

Zacznijmy od siebie — badajmy się, pielęgnujmy własne ciała. Potem otoczenie.

Odyseja pyta, co to znaczy być w pełni człowiekiem w świecie rządzonym przez siły, na które nie masz wpływu. Odyseusz jest w niej synem, ojcem, mężem, kochankiem, wodzem i tułaczem naraz — i w każdej z tych ról odpowiada za coś innego.

Ja jestem mężczyzną, synem, wujkiem, pracownikiem, sąsiadem, przyjacielem i uczestnikiem ruchu drogowego. Nie mam wpływu na to, kto kontroluje algorytm. Mam wpływ na to, jak zachowuję się na skrzyżowaniu, w windzie, w rozmowie. To jest ta część polityki, która naprawdę należy do mnie.

A potem — wspólnota. Skoro system promuje bezwzględność i manipulację, skoro algorytm podbija bzdury, to odpowiedzialność za przestrzeń między nami nie przyjdzie z góry. Nie musimy być aktywistami. Możemy każdego dnia, postawą, podejmować decyzję, że bierzemy współodpowiedzialność za wspólnotę — za klatkę schodową, za osiedle, za Polskę. Dzielić się wiedzą, której komuś obok brakuje. Organizować się. Edukować. Pomagać sobie nawzajem — oddolnie, uparcie. Wiem, jak to brzmi: jak manifest. Pod

koniec tej książki chyba mogę sobie pozwolić na jeden. I to nawet nie jest manifest polityczny. To manifest o uziemianiu się.

...

Jake nie myśli o systemach.

Jake myśli o tym, czy idziemy już na spacer. Czy ten pies przy klatce schodowej jest przyjaźnie nastawiony. Czy ten kawałek starej ryby dalej leży przy tym słupie, przy którym leżał dwa miesiące temu.

Czasem zazdroszczę mu prostoty życia. Choć Jake też ma trudne chwile. Często boi się — konkretnie, fizycznie, w wyniku przeszłości, której nie jest w stanie opisać i przepracować w terapii.

Ma odwagę niewspółmierną do swojego wzrostu i ciekawość świata, która nigdy nie gaśnie — ten nos zawsze pierwszy, zanim reszta ciała nadąży. Lojalność bez warunków. Nigdy nie szuka konfliktu, ale nigdy też nie pozwoli skrzywdzić rodziny — gdy wyczuje zagrożenie, staje między nim a mną bez chwili wahania. Czasem wyczuwa moje emocje, zanim sam zdążę je nazwać. Uwielbia stare, historyczne zakątki miasta — i zawsze wybierze dłuższą trasę, jeśli obiecuje więcej nowych zapachów.

Jake rozumie hierarchię, czyta strukturę całym ciałem. Jake nie żyje poza systemem — żyje w moim domu, który jest częścią systemu.

Mamy to wspólne. Ja też kocham wskakiwać w nowe tematy — zanurzać się w nich całym sobą, zanim zdążę pomyśleć, czy to się opłaci. Nos zawsze pierwszy. Reszta dogania później, jeśli w ogóle.

Czego mnie nauczył, to coś innego. Nauczył mnie, że można wiedzieć o katastrofie klimatycznej i jednocześnie cieszyć się kawą rano. Że obecność nie jest dezercją — jest warunkiem trwania.

Ruch, który wypala swoich ludzi, nie przetrwa. Człowiek, który nie wychodzi do rzeczywistości i nie pyta — nie zmieni żadnego systemu.

Jake czasem ciągnie w lewo, gdy ja chcę iść w prawo. Patrzę na niego, on patrzy na mnie, i albo ustępuję, albo nie. On nie ma ostatniego zdania — ale ma głos. Tyle mu daję.

Odyseusz dostaje pod koniec przepowiednię. Wraca na Itakę — i dowiaduje się, że to jeszcze nie koniec. Ma wziąć wiośło na ramię i iść w głąb lądu, daleko od morza, tak długo, aż spotka ludzi, którzy nigdy nie widzieli okrętu i wezmą jego wiośło za łopatę.

Podoba mi się, że dom nie jest metą. Po powrocie zostaje jeszcze jeden spacer — i kończy się on w chwili, gdy narzędzie z poprzedniego życia przestaje być rozpoznawane jako broń.

Ja umiem projektować zasięg, rozłożyć cudzy przekaz na czynniki, wiem, co robi z ludźmi gniew rozpisany na akapity. Ale coraz częściej idę z tym tam, gdzie nikt tego nie potrzebuje jako oręża.

Wiośło wciąż mam na ramieniu.

...

Obserwując Jake’a, nauczyłem się rzeczy, którą próbuję teraz opisać: on jest *tutaj*. Nie w tym, co *było* przy poprzednim słupie, nie w tym, co *będzie* za rogiem. *Tu, teraz, ten* zapach, *ten* człowiek, *ta* chwila. *Uważność* nie jako technika oddechowa z aplikacji — jako sposób *bycia*.

Czuć smak, zapach, dotyk. Doświadczać ciałem, zamiast przetwarzać głową. Siedzieć przy kawie i pić kawę, a nie biec z kawą, myśląc o wszystkim, tylko nie o jej smaku. Śmiać się w trakcie rozmowy zamiast analizować, co ta rozmowa znaczy dla relacji.

Co mnie dziś cieszy? Rzeczy zawstydzająco proste. Układanie LEGO z ukochaną, klocek po klocku, bez celu. Przetańczona do rana noc na stole przy ognisku, z ludźmi z pracy, kiedy nikt już nie pamięta o żadnym KPI. To jest radość bycia — energia, wspólnota, czucie się dobrze tu i teraz.

W czasach pętli dopaminowych, nieskończonego feedu, nalotów powiadomień — *uważność* jest *aktem oporu*. Nie heroicznym, nie instagramowalnym — *cichym*. Wyłączam telefon i *jestem*.

Stoicy pisali dwadzieścia wieków temu o rzeczach, które opisują nasze wyzwania ze zdumiewającą precyzją. O tym, że możemy kontrolować tylko swoje reakcje, nie zdarzenia. O tym, że gniew niszczy najpierw tego, kto go nosi. O tym, że dzień zaczyna się od decyzji, kim chcesz być — i że tę

decyzję podejmujesz ty, nie algorytm, nie newsfeed, nie toksyczna wspólnota w komentarzach.

Stoicyzm jako odpowiedź na toksyczną męskość. Na wojnę płci w internecie. Na uzależnienie od oburzenia. Myśli sprzed dwóch tysięcy lat — bardzo aktualne.

I właśnie dlatego ktoś je już sprzedaje. Stoicyzm jest dziś jednym z lepiej sprzedających się produktów rozwoju osobistego — kursy, aplikacje, kalendarzyki z cytatem na każdy dzień. A w tym samym rogu internetu, w którym mieszka manosfera, bywa opakowaniem na coś zupełnie innego: bądź twardy, nie okazuj uczuć, panuj nad sobą — a winne i tak są kobiety. Marek Aureliusz zostaje na okładce, treść podmieniona.

Kapitalizm potrafi zamienić w towar nawet naukę o tym, jak nie dać się kupić. Nie odrzucam jej przez to — ale czytam źródła, nie streszczenia, i sprawdzam, kto na streszczeniu zarabia.

Jake ciągnie w lewo. Idziemy w lewo.

...

Nie wiem, co będzie z tego tekstu. Czy obnażam zbyt dużo swojego życia? Czy kogoś to może zainteresować? Czy moje myśli mają *wartość*? Zauważyłem, że często wracam do tego rytmu — niepokój, potem próba jego nazwania. Nie chodzi o to, kto zobaczy coś pierwszy i jak bardzo moje tezy są „odkrywcze”, bo z nikim o to nie konkuruję. Nie wiem, czy ten rytm to prawda o mnie, czy tylko wygodna opowieść, którą sobie powtarzam, żeby nie było mi wstyd, że ciągle się mylę. Jest lęk, ale podjąłem decyzję, aby działać wbrew lękom.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego pisał to człowiek, a nie maszyna. Al nie ma doświadczeń. Umie odtworzyć czyjąś historię, złożyć ją z milionów cudzych zdań — ale sama nigdy niczego nie przeżyła. A ja te myśli wypracowałem empirycznie, metodą prób i wielu błędów. Dzielę się czymś intymnym właśnie po to, żeby było jasne: to nie jest wygenerowane. To jest przeżyte. I w wielu miejscach mogę się mylić — pewnie się mylę. Nie wstydzę się tego. Pomyłka, którą się przyzna, jest warta więcej niż pewność, której nikt nie sprawdził.

Dość już czekania na Luke'a Skywalkera. Wierzę, że zryw społeczny może to zacząć — że da się zbudować społeczeństwo odporne na manipulację. Ludzi świadomych swoich emocji, umiejących zapytać: skąd to we mnie, komu na tym zależy, kto na tym zarabia. Wojowniczkę i wojowników o dobrą przyszłość, niedających się ponieść nienawiści, cynizmowi, drwinie i pogardzie. Które i którzy mówią tak dialogowi, współpracy, twórczości, zaradności, życiu i miłości. I potrafią zakwestionować status quo.

To nie jest utopia. To kwestia narzędzi — a narzędzia można przekazać dalej.

PRZYSZŁOŚĆ

„If there is no tomorrow, then there never was a today.” — Shrotthagen, Strom der Zeit

Szósty dzień zamieci piaskowej. Za kilka dni powinien kończyć się sierpień. Jest wtorek lub środa, straciłem rachubę.

Ostatni powerbank wskazuje jedną kropkę z czterech, a piszę na rozładowanym telefonie. Jeśli to czytasz, to znaczy, że zdążyłem.

Wody mam już tylko na trzy dni. Jedzenia nie mam.

Wejście się zawaliło tydzień temu — gruz, nie do przejścia. Przedwczoraj słyszałem coś na górze, ale nikt mnie nie słyszał.

...

Ojciec umarł kilka miesięcy temu.

Nie umarł heroicznie. Nie umarł broniąc czegoś ani walcząc o coś. Ukradli nam insulinę — ostatnie zapasy, trzymane w chłodnym miejscu, pilnowane jak kosztowności — i to był koniec. Cukrzyca bez insuliny trwa kilka dni. Nie było nic do zrobienia.

Potem siostra. Sepsa — drobne skaleczenie, brak antybiotyków. Odeszła w jeden wieczór.

Jestem teraz sam. Myślę o jej synu — ma kilkanaście lat, był z nią, gdy to się stało. Ale rozdzieliliśmy się. Nie wiem, co się z nim dzieje. Staram się o tym nie myśleć zbyt długo, bo gdy myślę zbyt długo, przestaję pisać i zaczynam się trząść i to nic nie daje.

...

Jak to się stało — to jest pytanie, które zadaję sobie w ciemności. I dokumentuję co pamiętam.

Najpierw była reglamentacja prądu. 20 godzin dziennie z prądem, później 18, wreszcie 12 — przerywane tak, żeby lodówki nie zdążyły się rozmrozić.

Organizowaliśmy protesty, ale system energetyczny po prostu nie domagał, a pożary lasów prowadziły do awarii.

Przyzwyczailiśmy się. Człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego, jeśli zmiana jest wystarczająco powolna.

Ceny żywności tak wzrosły, że zaczęło dochodzić do zamieszek pod marketami.

Susza rolnicza ubiła ziemię tak, że woda spływa po wierzchu i powoduje powódzie.

Huragany przechodzą przez płonące lasy, których nikt już nie gasi. Tysiące miast i wiosek ewakuowanych. Kryzysy w obozach dla uchodźców.

Koszmarem lata były cykliczne fale upałów. W moim mieszkaniu w bloku grzało się do 40 stopni. Nie w południe — cały czas. Beton nagrzewa się przez dzień i oddaje ciepło przez noc, sumiennie, jak kaloryfer, którego nie da się zakręcić. Wietrzę — nic. Na zewnątrz wieczorem 25 stopni, w środku 35. Fizyka nie negocjuje. Pies ratował się na panelach, w najchłodniejszym punkcie, który znalazł metodą prób i błędów, i oddychał szybciej, niż powinien. Patrząc wtedy na niego, myślałem, że on nie wybrał ani tego klimatu, ani tego bloku, ani tej dekady.

Polskie budownictwo było zaprojektowane na klimat, którego już nie ma. Bloki miały trzymać ciepło w zimie — i trzymają je uczciwie także w lecie. Klimatyzacji nie ma, bo nigdy nie była potrzebna. Później stała się tańsza, aż w końcu, w efekcie popularyzacji, załamała system energetyczny całego kraju.

Gdy zabrakło wody w kranie — cywilizacja się rozwiązała. Nie eksplodowała. Rozwiązała. Jak umowa, której warunki przestały być dotrzymywane przez jedną stronę. Policja miała broń, ale nie miała autorytetu — bo autorytet bierze się z usług, a usług nie było. Szpitale działały na generatorach przez miesiąc, potem generatory potrzebowały paliwa, którego nie było. Banki — bez sensu mówić o bankach. Pieniądz przestał być czymkolwiek, gdy nie było czego kupić.

Gangi złożone z byłych kibiców. W apokalipsie nie ma miejsca na derby. Gangi potrzebujące zasobów, walczące o terytorium, a między nimi ludzie, którzy tylko chcieli przeżyć. Znaleźliśmy się między.

...

Myślę o prysznicu.

Siedzę w ciemności i myślę o tym, jak wchodziłem rano pod gorącą wodę i stałem pięć minut dłużej niż trzeba, bo było ciepło i dobrze, i nie chciało mi się wychodzić. Myślę o tym z czymś, co nie jest żalem — jest zdumiewaniem. Że to było normalne.

Wody nie zabrakło przez to, że kąpaliśmy się zbyt długo. Zabrakło dlatego, że pozwoliliśmy, aby system doprowadził nasz świat do ruiny. Straciliśmy kontrolę.

...

Myślę o McDonaldzie.

Nie o śmieciowym żarciu, ale o tamtym wspomnieniu.

Grudzień 2019, przed siódmą rano. Stoję przed zamkniętymi drzwiami i czekam, aż otworzą. Jestem głodny i przekonany, że mam problemy. Kocham nieszczęśliwie. Mam poczucie braku wpływu. Bez pracy i celu w życiu. Samotny — tamtego roku rozpadły mi się dwie paczki znajomych, a wiosną umarła bliska mi osoba z partii. I w głowie raporty o końcu świata. Wściekły, że nikt nie słucha.

Nie wiem, czy tamta samotność przypominała tę dzisiejszą. Chyba nie. Tamta miała jeszcze dokąd się cofnąć.

Oddałbym wszystko, żeby tamten poranek został najgorszą rzeczą, jaka mi się przydarzyła.

Tamten chłopak pod McDonald's miał jedzenie za szybą. Musiał tylko poczekać, aż otworzą.

...

Myślę o Jake'u.

Odszedł wczoraj. Nie chcę zapisywać, jak. Tęsknię za stukaniem jego łapek o parkiet. Za ciężarem jego głowy na kolanie. Za tym, jak oddychał obok mnie w nocy — taki spokojny, taki pewny, że wszystko jest dobrze, bo ja jestem obok.

Chciałbym jeszcze raz wyjść z nim na spacer. Byle którą trasą.

...

Nie skończyłem tekstu, nie skończyłem książki.

Pisałem ją latami. Odkładałem, wracałem, bałem się ukończyć — bo bałem się, że będzie niewystarczająca, że za mało powie, że za słabo uderzy, że za dużo o mnie, że za mało o mnie, że nie będę zrozumiany. I tak odkładałem, aż skończyło się wszystko inne, wszystko przestało mieć znaczenie, nic z niczym już nie zrobię.

Pisałem o systemach, o tym, jak system zmienia cię, zanim zdążysz to zauważyć. O algorytmach i aktywizmie i klimacie i miłości i psie. Miałem ją skończyć. Nie skończyłem.

Jeśli ją czytasz — to znaczy, że żyjesz w innej rzeczywistości niż ta, w której piszę. Że coś poszło inaczej. Że dałem radę — ta wersja mnie, gdzieś — przełamać strach i oddać ją w ręce czytelnika. Tej wersji mnie gratuluję.

...

Nie doceniliśmy czasu.

Mieliśmy czas i nie doceniliśmy go. Mieliśmy raporty, mieliśmy dane, mieliśmy szczyty klimatyczne i aktywistów przyklejonych do asfaltu i książki i filmy i ludzi, którzy krzyczeli. Mieliśmy wszystko, co potrzebne, żeby zrozumieć — i rozumieliśmy, wielu rozumiało — ale rozumienie nie wystarczyło.

Nie wiem, co by wystarczyło.

Byłem tu. Próbowiałem. Kochałem to życie bardziej niż potrafiłem przyznać to przed sobą, gdy bywało dobrze.

Kochałem kawę rano, psa przytulającego mnie w łóżku, spacer bez celu, rozmowy do późna, śmiech z głupot.

To wystarczyło. To więcej niż wystarczyło.

...

Podziękowania

Są osoby, bez których ten tekst by nie powstał — i bardzo Wam dziękuję. Ta książka nie jest tylko moim indywidualnym głosem. Niezależnie, jak długa i głęboka była nasza relacja — noszę wszystko ze sobą. Każda i każdy z Was zostawił w niej coś, nawet jeśli tego nie wie.

BIBLIOGRAFIA

Ta książka opiera się na realnych wydarzeniach, badaniach i danych — nie chciałem jednak zaśmiecać tekstu przypisami. Proza ma płynąć, nie potykać się o przypisy.

Jeśli coś w tej książce brzmi zbyt mocno, żeby uwierzyć — po to jest ta lista. Każde twierdzenie, które nie jest moją opinią, da się sprawdzić. Poniżej są źródła: raporty, prace naukowe, dokumenty, wywiady. Po prostu przewiń do rozdziału, o który pytasz.

Aktualną wersję znajdziesz też na jestesmyztytanu.pl/bibliografia.

...

KRYZYS

Raport IPCC z 2018 o konieczności natychmiastowych zmian systemowych

IPCC — *Global Warming of 1.5°C (SR15)*, 2018

2024 pierwszym rokiem w historii pomiarów powyżej 1,5°C

Copernicus Climate Change Service — *Global Climate Highlights 2024*

Pierwszy dzień bez lodu w Arktyce możliwy przed 2030, część modeli wskazuje 2027

Jahn, Kay et al. — *The first ice-free day in the Arctic Ocean could occur before 2030*, *Nature Communications* (2024)

Prądy morskie (AMOC) najłabsze od ~1600 lat

Caesar, McCarthy, Thornalley, Cahill, Rahmstorf — *Current Atlantic Meridional Overturning Circulation weakest in last millennium*, *Nature Geoscience* 14 (2021)

Susza w Syrii: najgłębsza od stuleci, wpływ na produkcję rolną i migracje wewnętrzne

Kelley, Mohtadi, Cane, Seager, Kushnir — *Climate change in the Fertile Crescent and implications of the recent Syrian drought*, *PNAS* 112 (2015)

Ignacy Daszyński (PPS) proklamował w listopadzie 1918 Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej w Lublinie

Przystanek Historia (IPN) — Lubelski premier: Ignacy Daszyński

Delegalizacja PPS w grudniu 1948 (wchłonięcie do nowo utworzonej PZPR), reaktywacja 15 listopada 1987

IPN — 75. rocznica powstania PZPR · Histmag — Polska Partia Socjalistyczna i jej reaktywacja

...

FILM

Godzilla (1954) a test Castle Bravo i skażenie kutra Daigo Fukuryū Maru Hashimoto — *Of tuna, godzilla, and the Daigo Fukuryū Maru (Lucky Dragon #5): nuclear entanglements, a ‘way-sign to peace’, and shifting heritage engagements*, International Journal of Heritage Studies (2024)

Susan Sontag o funkcji psychologicznej science fiction

Susan Sontag, *The Imagination of Disaster* (1965), w: *Against Interpretation and Other Essays*.

Hegemonia kulturowa

Antonio Gramsci, *Zeszyty więzienne* (Quaderni del carcere, 1929–1935).

Andrew Niccol o sprzedaży scenariusza *Wyścigu z czasem*

Collider — Andrew Niccol Talks IN TIME

Lucas zrezygnował z części gaży reżyserskiej w zamian za prawa do sequeli i merchandisingu

Chris Taylor, *How Star Wars Conquered the Universe* (2014).

Lucas o umieraniu demokracji: „demokracje nie są obalane, są oddawane”; inspiracja Wietkongiem przy bitwie o Endor

Chicago Tribune (2005), cyt. za: Pacific Council — How International Politics Influenced „Star Wars”

Sprzedaż Lucasfilmu Disneyowi za 4,05 mld USD (30 października 2012)

TechCrunch — Disney To Buy ‘Star Wars’ Maker Lucasfilm For \$4.05 Billion

Homer, kwestia autorstwa i tradycja ustna

Homer, *Odyseja* — tekst grecki i przekłady, Perseus Digital Library (Tufts)

Różnice kulturowe w percepcji obrazu

Masuda & Nisbett — *Attending holistically versus analytically: comparing the context sensitivity of Japanese and Americans*, *Journal of Personality and Social Psychology* 81 (2001), s. 922–934 · Richard Nisbett, *The Geography of Thought* (2003).

...

ZASIĘG

Okno Overtona

Mackinac Center — The Overton Window

Orzeczenie TK w sprawie aborcji, 22 października 2020, sygn. K 1/20

Trybunał Konstytucyjny — Planowanie rodziny, ochrona płodu ludzkiego i warunki dopuszczalności przerywania ciąży

...

DIGITAL

Dopamina jako cząsteczka oczekiwania, nie nagrody

Berridge & Robinson — *What is the role of dopamine in reward: hedonic impact, reward learning, or incentive salience?*, *Brain Research Reviews* 28 (1998) · Robinson & Berridge — *The Incentive-Sensitization Theory of Addiction 30 Years On*, *Annual Review of Psychology* (2025)

Badanie Male Allies UK: ponad 1000 chłopców 12–16 lat, co piąty w relacji z „dziewczyną AI” lub zna kogoś takiego

Male Allies UK — Research and resources

Cambridge Analytica: 87 mln profili, quiz osobowościowy, profile psychograficzne

ICO — raport końcowy śledztwa

Kara 5 mld USD dla Facebooka (lipiec 2019)

FTC — FTC Imposes \$5 Billion Penalty and Sweeping New Privacy Restrictions on Facebook

Birma: Facebook jako „Internet”, uchodźcy Rohingya, ludobójstwo

UN Human Rights Council — Report of the Independent International Fact-Finding Mission on Myanmar (2018)

Facebook wiedział o ryzyku od 2012, otrzymał bezpośrednie ostrzeżenia, środki „wyraźnie niewystarczające”

Amnesty International — The Social Atrocity: Meta and the right to remedy for the Rohingya (2022)

Rwanda: Radio Tysiąca Wzgórz, dehumanizacja Tutsi, skazanie za podżeganie do ludobójstwa

ICTR — sprawa Nahimana, Barayagwiza, Ngeze („Media Case”, wyrok 2003)

Rumunia: Georgescu, wybory 2024, TikTok, unieważnienie wyborów, postępowanie KE na mocy DSA

CEPA — Romania’s Shady TikTok Election · Warsaw Institute — Before and After Georgescu

Kontrola eksportowa USA na modele Anthropic: nałożona 12 czerwca 2026, zdjęta 30 czerwca — w tym czasie firma musiała odciąć dostęp wszystkim obcokrajowcom, także własnym pracownikom spoza USA

CNN — White House lifts export control on Anthropic that froze its most advanced models · CBS News — Anthropic says Trump administration lifted restrictions on some of its most powerful Claude AI models

Wzrost bezrobocia wśród dwudziestokilkulatków w zawodach technologicznych

Yale Insights — The Real Job Destruction from AI Is Hitting Before Careers Can Start

Szkolenie GPT-3: 700 tys. litrów wody pitnej bezpośrednio

Li, Yang, Islam, Ren — *Making AI Less „Thirsty”: Uncovering and Addressing the Secret Water Footprint of AI Models* (2023)

Globalny pobór prądu przez centra danych ~415 TWh w 2024

IEA — *Energy and AI: Energy demand from AI* (2025)

Ślad węglowy systemów AI w 2025: 32,6–79,7 mln ton CO₂

Kaack, Ludwig et al. — *The carbon and water footprints of data centers and what this could mean for artificial intelligence*, Patterns (Cell Press, 2025)

⅔ centrów danych budowanych od 2022 w regionach zagrożonych stresem wodnym

Bloomberg — The AI Boom Is Draining Water From the Areas That Need It Most

Louisiana: elektrownie gazowe pod centrum danych Meta

DCD — Entergy breaks ground on natural gas plants for Meta's data center in Richland Parish · Bloomberg — Meta Funds Seven Entergy Gas Plants to Power Biggest Data Center (2026)

Rewolucja AI podbija ceny surowców i komponentów technologicznych

TrendForce — AI Server Demand Continues to Support Memory Prices (2026) · IDC — Global Memory Shortage Crisis: Market Analysis and the Potential Impact on the Smartphone and PC Markets in 2026

Firmy AI nie zarabiają dziś na sobie; instytucje finansowe ostrzegają przed „bańką”

BIS — Annual Economic Report 2026: pięciu największych hyperscalerów wyda ponad bilion dolarów na inwestycje w AI w latach 2025–2026, a zobowiązania wyprzedzają zyski i wolne przepływy pieniężne (za CNBC) · IMF i Bank of England o rozdźwięku między wycenami spółek AI a wynikami (CNBC) · Fortune — dokumenty finansowe OpenAI: tempo spalania gotówki, rentowność prognozowana dopiero na 2030

Deepfake Żelenskiego (2022) i spreparowane nagranie audio burmistrza Londynu (2023)

LBC — Deepfake audio of Sadiq Khan not a crime, Met says

Fala nagrań generowanych przez AI po ataku na Iran (2026)

CNN — Fake, AI-generated images and videos of the Iran war are spreading

Fałszywe treści docierają do 1500 osób sześć razy szybciej niż prawdziwe

Vosoughi, Roy, Aral — *The spread of true and false news online*, Science 359 (2018)

Enshittification — trzy fazy życia platformy

Cory Doctorow, esej o *enshittification* (Pluralistic / Locus Magazine, 2023).

Inauguracja Trumpa (styczeń 2025): szefowie wielkich platform w pierwszym rządzie

WTTW — Trump, a Populist President, Flanked by Tech Billionaires at Inauguration

...

SIEĆ

Teoria martwego internetu; około połowy ruchu w sieci generują automaty

Imperva (Thales) — 2025 Bad Bot Report: How AI is Supercharging the Bot Threat

...

GAMING

Wartość globalnego rynku gier: ponad 200 mld USD rocznie

Newzoo — Global Games Market Report 2025 (201,6 mld USD, +9,1% r/r)

Crunch jako powszechna praktyka; „passion tax” jako mechanizm kulturowy branży

IGDA — Developer Satisfaction Survey 2023, Summary Report

EA kupione przez Saudi PIF i firmę Jareda Kushnera za 55 mld USD

Al Jazeera — Saudi fund, Kushner’s firm to buy Electronic Arts in \$55bn deal

Clair Obscur: Expedition 33 — sprzedaż i nagrody na The Game Awards

NPR — Game Awards 2025 winners

Star Wars: Battlefront II (2017) — 4 528 godzin gry albo 2 100 dolarów za odblokowanie całej treści; komentarz EA o „poczuciu dumy i osiągnięcia” jako najgorzej oceniony komentarz w historii Reddita (683 tys. głosów na minus), wycofanie się EA

Screen Rant — Spend 4528 Hours or \$2100 To Unlock Battlefront II Content · Kotaku — EA Defense Of Star Wars Battlefront II Becomes Most Downvoted Reddit Comment Ever · BBC — Star Wars game in U-turn after player anger

Belgia uznała lootboxy za hazard (2018)

BBC — Video game loot boxes declared illegal under Belgium gambling laws (2018)

Holandia: kara dla EA za lootboxy uchylona przez Radę Stanu (wyrok z 9 marca 2022)

Xiao & Declerck — *Paid Video Game Loot Boxes Are Not Gambling under Dutch Gambling Regulation? Shifting the Goalpost in Electronic Arts v. Kansspelautoriteit*, Gaming Law Review (2023)

Variable ratio reinforcement — zmienny współczynnik wzmocnienia

B.F. Skinner, *Schedules of Reinforcement* (Ferster & Skinner, 1957).

Google Project Genie 3 a spadek akcji spółek gamingowych (styczeń 2026)

Seeking Alpha — Video game stocks nosedive as Google's 'Project Genie' allows virtual world creation

Korea Płd.: wybory 2022, konflikt płci jako narzędzie mobilizacji, ruch 4B, rekordowo niska dzietność

Pacific Affairs — The 2022 South Korean Presidential Election and the Gender Divide among the Youth · Britannica — 4B movement

...

MIŁOŚĆ

Limerencja

Dorothy Tennov, *Love and Limerence: The Experience of Being in Love* (1979).

Adolescence (Netflix 2025) — mechanizm radykalizacji przez incelowe fora

Rolling Stone — Why 'Adolescence' Is Sparking Conversations About Incel Dread Online

Model biznesowy Tinder: przychód oparty na subskrypcjach i płatnej widoczności

Match Group, Inc. — Form 10-K za rok obrotowy 2024 (SEC EDGAR) · Match Group — Investor Relations

...

POGLĄDY

Dysonans poznawczy i aktywność mózgu

Izuma et al. — Neural mechanisms of dissonance: An fMRI investigation of choice justification (2010) · van Veen et al. — Cognitive dissonance induction in everyday life: An fMRI study (2014)

Naloty NATO na Jugosławię 1999: 78 dni, bez mandatu ONZ

Human Rights Watch — Civilian Deaths in the NATO Air Campaign (2000)

Srebrenica jako ludobójstwo

ICJ — Application of the Genocide Convention (Bosnia and Herzegovina v. Serbia), wyrok z 26 lutego 2007

Tony Gilroy o *Andorze*: napad na bank w Tyflisie 1907, „podręcznik faszyzmu”

Peabody Awards — transkrypcja wywiadu z Tonym Gilroyem

Afektywna polaryzacja — tożsamość partyjna jako plemienna

Iyengar, Sood, Lelkes — Affect, Not Ideology: A Social Identity Perspective on Polarization, *Public Opinion Quarterly* 76 (2012) · Iyengar et al. — The Origins and Consequences of Affective Polarization in the United States (2019)

Lotofagowie: kto zje lotos, zapomina o powrocie

Homer, *Odyseja*, ks. IX — Perseus Digital Library

...

ULICA

Zapatyści/EZLN: powstanie 1 stycznia 1994, zajęcie San Cristóbal de las Casas

Pierwsza Deklaracja z Dżungli Lakandońskiej — tekst źródłowy

Caracoles* i zasada *mandar obedeciendo

Critical Perspectives on International Planning (UT Austin) — Alternative Participatory Planning in Zapatista Territories

Wypalenie aktywistyczne w Polsce

Raport RPO — Cypryńska-Nezlek, *Wyzwania i zagrożenia pracy w NGO i nieformalnych ruchach społecznych*

Jonathan Shay: weterani mówią językiem Homera; pojęcie urazu moralnego (moral injury)

Jonathan Shay, *Achilles in Vietnam: Combat Trauma and the Undoing of Character* (1994) · *Odysseus in America: Combat Trauma and the Trials of Homecoming* (2002).

Bryn Mawr Classical Review — recenzja *Odysseus in America*

Losowanie urzędników w demokracji ateńskiej

Britannica — Sortition · OUPblog — And the lot fell on... sortition in Ancient Greek democratic theory & practice

Irlandia: zgromadzenia obywatelskie i referenda o małżeństwach jedнопłciowych i aborcji

Electoral Reform Society — The Irish abortion referendum: how a Citizens' Assembly helped break the deadlock

Francja: Konwencja Obywatelska ds. Klimatu, 150 wylosowanych obywateli

Élysée — odpowiedź Macrona na 149 propozycji

Gdańsk: panel obywatelski, losowanie reprezentatywne, próg 80% dla wiążących rekomendacji

Gdansk.pl — Czym jest panel obywatelski?

Badania nad deliberacją: depolaryzacja uczestników

Stanford Report — Could deliberative democracy depolarize America?

...

PIES

Łódź jako centrum przemysłu włókienniczego; Scheibler, Poznański, Geyer

UM Łódź — Łódzcy fabrykanci

Powstanie łódzkie, czerwiec 1905

UM Łódź — Po wolność i sprawiedliwość społeczną. Powstanie łódzkie 1905 roku

Wpływ jakości przestrzeni publicznej na poczucie bezpieczeństwa i aktywność obywatelską

PMC — From Broken Windows to Perceived Routine Activities · Justice Quarterly — Broken Windows Theory and Citizen Engagement in Crime Prevention

Susza hydrologiczna w Polsce i rekordowo niski stan Wisły (lato 2026)

IMGW / TVN Warszawa — Najniższy stan Wisły w historii pomiarów · Rzeczpospolita — Poziom Wisły w Warszawie rekordowo niski

Anomalie temperatury w zachodniej części Morza Śródziemnego do ok. 6°C powyżej normy (2026)

Copernicus / EU Space Support Office — Marine heatwave conditions persist in the western Mediterranean · CMEMS — Persistent ocean warmth and expanding marine heatwaves mark the first half of 2026

Zaopatrzenie Łodzi w wodę: 48 studni głębinowych, rezygnacja ze Zbiornika Sulejowskiego w 2004

ZWiK Łódź — Wydział Produkcji Wody · ZWiK Łódź — 20 lat bez wody z Zalewu Sulejowskiego

Profilaktyka onkologiczna w Polsce: niska i spadająca zgłaszalność

NFZ — Dane o realizacji programów profilaktycznych

Projektowanie żywności ultraprzetworzonej pod maksymalizację pożądanego

CNN — Ultraprocessed foods make up to 70% of the US food supply

Marek Aureliusz — motto podane jako parafraza; stoicka dyscyplina badania własnych wyobrażeń

Marek Aureliusz, *Rozmyślania* (II w. n.e.) · Epiktet, *Diatryby* oraz *Encheiridion* (I–II w. n.e.).

Stoicyzm jako produkt rynkowy i jego przechwycenie w manosferze

Penguin Random House — *The Daily Stoic* Ryana Holidaya: ponad 3 mln

sprzedanych egzemplarzy · Maloney, Jones, Roberts — „*I Can Choose to be a Good Man Even if I Got a Raw Deal*”: Neoliberal Heteromascularity as Manosphere Counter Narrative in *r/Stoicism*, Social Media + Society (2024)

Przepowiednia Tejrezjasza: wiosło niesione w głąb lądu

Homer, *Odyseja*, ks. XI — Perseus Digital Library

Jesteśmy z Tytanu

Kuba Kołaciński

Wydanie cyfrowe, 2026

ISBN: 978-83-982569-0-2

Okładka: Filip Trzeciak

Wsparcie w redakcji i korekcie: Justyna Kołacińska, Viola Ściesiek

jestesmyztytanu.pl

Tekst: CC BY-NC-ND 4.0